899 III/2006
2006
Nr 3-4

ISSN 1427-6720

Pionierzy

NR 3(25) 2006 ROK XI
ZIELONA GÓRA
Cena 2 zł

CZASOPISMO SPOŁECZNO-HISTORYCZNE

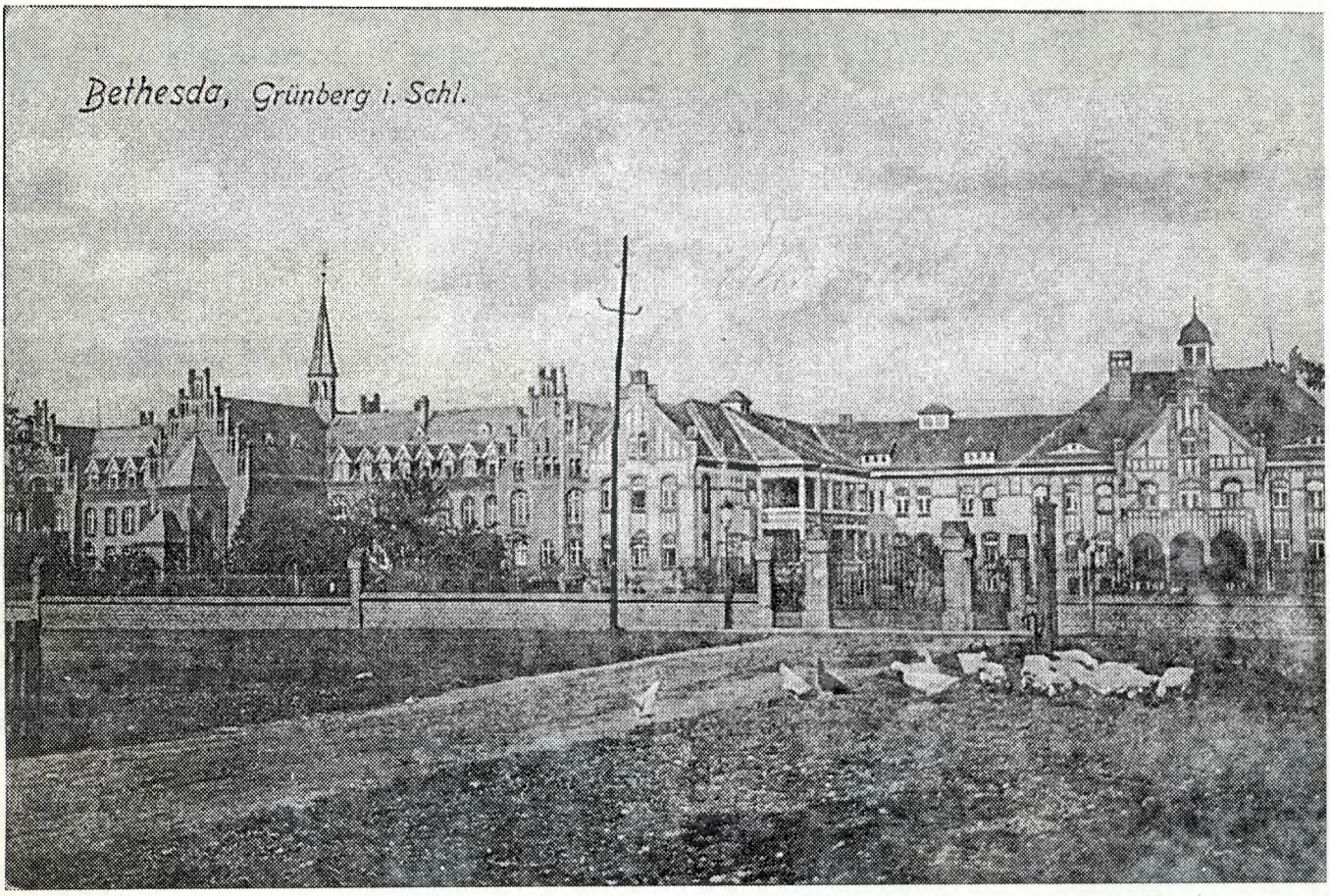

- Heneryk Ankiewicz i jego „Przechadzki zielonogórskie"
- Szkic do jubileuszowego życiorysu postać prof. Joachima Benyskiewicza
- Muzeum w Zielonej Górze w pierwszych latach po II wojnie światowej
- Bereziacy
- Dzieje Szpitala Wojewódzkiego w Zielonej Górze
- Zapomniene restauracje Zielonej Góry
- Verden - miasto partnerskie
- Wywiad z panią Stanisławą Ciesielską
- Porady Starego Piwowara

2006
3-4

Pionierzy
CZASOPISMO SPOŁECZNO-HISTORYCZNE

Wydawca:

Sekcja Historyczna Stowarzyszenia Pionierów Zielonej Góry,
ul. Stary Rynek 1,
Ratusz – Sala Wspomnień,
65-067 Zielona Góra

Redakcja:

Redaguje Kolegium w składzie:
Marceli Tureczek
Stanisław Prałat

Adres Redakcji:

ul. Stary Rynek 1,
Ratusz – Sala Wspomnień,
65-067 Zielona Góra

Korekta:

Ewa Nodzyńska

Druk:

Drukarnia „EURODRUK"
tel. 068 323 41 40
Zielona Góra

Materiałów nie zamawianych redakcja nie zwraca.
W materiałach nadesłanych redakcja zastrzega sobie prawo dokonywania zmian redakcyjnych.
Za treść reklam redakcja nie odpowiada.

Wstęp

Oddajemy do Państwa rąk kolejny, 25 numer czasopisma społeczno-kulturalnego *Pionierzy*.

Liczymy, że także tym razem zebrane artykuły wzbudzą Państwa zainteresowanie.

Podobnie jak w numerach poprzednich, także teraz prezentujemy dalsze losy Pionierów oraz jak zawsze interesujące historie z przeszłości Zielonej Góry i mieszkańców miasta.

Tomasz Nodzyński przypomni osobę znanego zielonogórzanina Henryka Ankiewicza.

Postać prof. Joachima Benyskiewicza - wieloletniego pracownika naukowego Wyższej Szkoły Pedagogicznej i Uniwersytetu Zielonogórskiego prezentuje **Jan Muszyński**, natomiast **Anna Ciosk** swój tekst poświęciła dziejom zielonogórskiego muzeum po II wojnie światowej.

Losy przesiedleńców z Polesia przedstawia **Paweł Towpik** w artykule zatytułowanym *Bereziacy*. Dalsze dzieje zielonogórskiego szpitala, a także zielonogórskich restauracji omówili w swoich tekstach **Krzysztof Badach-Rogowski** oraz **Grzegorz Biszczanik**.

Losy partnerskiego miasta Zielonej Góry - Verden przybliża **Grzegorz Chmielewski**.

Wywiad z Panią Stanisławą Ciesielską - mieszkanką Domu Pomocy Społecznej dla Kombatantów proponuje **Daniel Głowiński**.

Jak zawsze interesujące porady dla miłośników gospodarwstwa domowego zamieszcza **Stanisław Prałat**.

Tradycyjnie zapraszamy Państwa do współpracy z naszym czasopismem. Jeśli dysponują Państwo materiałami poświęconymi historii naszego miasta i okolic i zechcą Państwo je przedstawić na łamach naszego czasopisma, prosimy o kontakt z redakcją.

REDAKCJA

Henryk Ankiewicz i jego "Przechadzki zielonogórskie"

Zmarły w grudniu 2005 r. Henryk Ankiewicz – popularny w Zielonej Górze Andabata – dziennikarz, publicysta i pisarz należał do pionierów polskiej Zielonej Góry. Z pochodzenia był Wielkopolaninem. Urodził się w 1933 r. w Obrze niedaleko Wolsztyna, a więc po polskiej stronie ówczesnej granicy. Tuż po wojnie, jak wielu innych Polaków z tamtych stron, zainteresował się niedaleką, włączoną do Polski Zieloną Górą. Jak podaje w swych znakomitych "Przechadzkach zielonogórskich" (I wyd. 1977), do miasta winnic i ogrodów przyjechał latem 1947 r. na rowerze, kupionym "od radzieckiego sierżanta za dwa litry spirytusu". Miejscowość zrobiła na nim duże i miłe wrażenie – po malutkiej Obrze jawiła się - jak pisze - niemal wielkomiejsko, a zarazem "zielono i spokojnie". Jako pierwszą miejską przyjemność wspomina znakomite lody i smaczne posiłki, serwowane w prawie czterdziestu restauracjach. Te wspomnienia kazały mu sceptycznie odnosić się do narzekań na "ciężkie, pionierskie czasy" niektórych pierwszych osadników. Choć oczywiście przyznaje, że początki były trudne – nie mogło przecież być inaczej. Związane z nimi impresje rozrzucone są po wszystkich zielonogórskich "przechadzkach". I tak np. wspomina Ankiewicz o początkach powojennego drukarstwa i dziennikarstwa, szkolnictwa, uruchamianiu poniemieckich fabryk, komunikacji, powstawaniu systemu opieki medycznej, początkach kształtowania się środowiska artystycznego i naukowego. Opowiadanie Ankiewicza nie jest ułożone chronologicznie, dlatego warto sięgnąć do całej książki, aby przypomnieć sobie "pionierskie" (i nie tylko) epizody. Szczególnie, że jego wspomnienia to nie tylko relacja o faktach, ale także oddanie atmosfery tamtych czasów. Ze szczególnym rozrzewnienieniem Ankiewicz wspomina dawną ulicę Niepodległości (wówczas – niestety Stalina), udekorowaną drzewami i ogrodami oraz dyżurne miejsce spotkań w centrum, czyli tzw. Grzybek, spod którego rozciągał się widok na wspomnianą ul. Stalina, Świerczewskiego (dziś Kupiecką) i Żeromskiego (bez zmian).

Po przybyciu do Zielonej Góry Henryk Ankie-

wicz marzył, aby zostać ślusarzem. Los skierował go jednak do zawodu dziennikarskiego, jak twierdzi, w jakiejś mierze za sprawą pioniera tego fachu w Zielonej Górze, red. Mieczysława Turskiego. Zaczynał jako kontroler nocny w drukarni prasowej przy ul. Reja, następnie redaktor techniczny i depeszowy"Gazety Zielonogórskiej", dziennikarz oddziału w Gorzowie, by wreszcie zostać jej czołowym felietonistą. Wielu czytelników, w tym niżej podpisany, przez całe lata zaczynało lekturę "Gazety" od błyskotliwych, inteligentnych i mądrych "Listów z Palmiarni" pióra Andabaty (są też wydane w książce). Pisywał także większe formy – artykuły, reportaże, słuchowiska radiowe, opowiadania. Wnikliwie, często z dystansem i ironią, a zawsze w ciekawej, zajmującej formie, dokumentował w nich to, co działo się w naszym mieście i regionie w ciągu kilkudziesięciu powojennych lat. Będzie nam brakowało jego dziennikarskiej twórczości.

Tomasz Nodzyński

Szkic do jubileuszowego życiorysu

"W związku z przygotowywanym wydawnictwem jubileuszowym z okazji 70-lecia urodzin i 50-lecia pracy zawodowej prof. dr hab. Joachima Benyskiewicza pt. "Polacy i Niemcy. Z dziejów historycznych relacji", uprzejmie zapraszamy do wzięcia udziału w tym przedsięwzięciu".

Pismo takiej treści otrzymałem w kwietniu 2005 roku. Z serdecznymi pozdrowieniami, podpisał je dr hab. Tomasz Nodzyński.

Natychmiast zadzwoniłem do profesora i poprosiłem o możliwość zmiany tematu. Moje polsko-niemieckie relacje zostały ugruntowane późną jesienią w 1939 roku. O bladym świcie, a było to w Gnieźnie, do naszego mieszkania przyszło dwóch panów i poprosili moją starszą siostrę, aby poszła pod mleczarnię, gdzie w kolejce stała nasza mama i poinformowała, że ma pilnie wrócić do domu. Sprawy potoczyły się teraz bardzo szybko. Spod pierzyn, na wpół uduszoną ze strachu Mama uwolniła moją młodszą siostrę i mimo jej protestów ciepło ją ubrała. My także założyliśmy wcześniej przygotowane ubrania. Mama była już częściowo spakowana gdyż informacje o wysiedleniach nie były tajemnicą. Gdy wychodziliśmy z mieszkania Mama w pół kroku się zatrzymała i sięgnęła po butelkę z sokiem malinowym, która stała na parapecie okna. Wtedy ten jeden Niemiec zatrzymał Mamę i bez słowa pokazał palcem gdzie ma powrócić ten sok malinowy.

Taka jest moja historyczna relacja. Wstydzę się za tego Niemca.

(Ojciec jako powstaniec wielkopolski został aresztowany w kilkanaście godzin po wkroczeniu Niemców do Gniezna).

Od lewej prof. J. Benyskiewicz, po prawej profesorowie Korcz i Szczegóła.

Wręczenie prof. belwederskiej prof. Joachimowi Benyskiewiczowi.

Ja, do Zielonej Góry przyjechałem 50 lat temu. Teraz oczywiście jestem już emerytem.

W kwietniu 2005 roku Piotr Najsztub w Krakowie rozmawiał ze Sławomirem Mrożkiem o kondycji emeryta.

- To jest przyjemny okres w życiu?

- Bardzo przyjemny. To jest jedyny okres w życiu, kiedy człowiek nie ponosi już żadnej odpowiedzialności ani za życie bieżące, ani w ogóle. To jest jedyny okres w życiu, w którym ma się coraz pełniejszą wolność.

- Na czym polega wolność starca, oprócz braku odpowiedzialności?

- No właśnie na tym. Opowiada się to, co się chce. W sytuacji demokratycznej opowiada się cokolwiek i ma się spokój.

Mimo całej Mrożkowej przewrotności, coś z klimatu tej rozmowy pozostało, gdy spytałem profesora Nodzyńskiego, czy mogę podjąć, przez nikogo niedekretowany subiektywny, serdeczny temat mojej przeszło 30-letniej relacji z Joachimem Benyskiewiczem. Dzieliłem z nim wspólny lokal w Muzeum gdzie ulokowała się Stacja Polskiego Towarzystwa Historycznego i gdzie Chimek stawiał w stolicy województwa pierwsze kroki, które zawiodły go na parnas uniwersyteckiej zielonogórskiej nauki.

Profesor Nodzyński wyraził zgodę, a nawet odniosłem wrażenie, że przychylnie zaakceptował ten zamysł. Nie piszę o tym bez powodu. Zbierając informacje o bogatym życiorysie profesora Benyskiewicza dotarłem do profesora Szczegóły, który jako rektor Wyższej Szkoły Pedagogicznej, przyjął Joachima w trudnym okresie jego politycznego losu, do pracy na uczelni. Przez dwa lata Joachim przygotowywał się do wykładów z historii. Rektor wcześniej poznał go jako zdolnego piłkarza, a także ucznia z Liceum Pedagogicznego w Sulechowie. Hieronim Szczegóła był tam nauczycielem i otoczył naszego futbolistę opieką, także w zakresie języka polskiego. Profesor Szczegóła życzliwie mi doradził, abym tekst ten przygotował, ale nie publikował go w wydawnictwie jubileuszowym, z natury poważnym i dostojnym. Uczeni mężowie ogłoszą tam swoje naukowe przemyślenia, a krotochwilne wydarzenia z życia Jubilata mogą zakłócić powagę publikacji. Oczywiście, że podzieliłem ten pogląd, tym bardziej, że od samego początku nie zakładałem, aby w tej relacji naukowy kult pracownika Uniwersytetu Zielonogórskiego przesłonił nasze lata młodości z widzeniem świata w sposób prosty i uczciwy. Bez fikcji i fantazmatów wpisujących się w czasy gdzie wzrasta zapotrzebowanie na bohaterów i niezłomnych rycerzy walczących z komunizmem. Nic z tych rzeczy.

Nie sposób dzisiaj zrekonstruować dokładnie drogę, jaką Joachim trafił do Stacji Naukowej PTH. Z całą pewnością zadecydowali o jego zawodzie: - Nauczyciel z Nowego Kramska, dr Wiesław Sauter, Prezes Lubuskiego Towarzystwa Kultury oraz profesor Jan Wąsicki z UAM w Poznaniu. Joachim jako uczący nauczyciel studiował historię. Zdawał egzamin, w trakcie którego profesor Wąsicki zapytał go skąd pochodzi. No i zaczęła się długa rozmowa na temat pogranicza.

Kto miał więcej do powiedzenia?

– Oczywiście, że profesor - odpowiada Benyskiewicz, ale mnie pytał przede wszystkim jak się układały stosunki ludnościowe, jak wyglądało życie podczas okupacji, a jak - z relacji rodziców - przedwojenna codzienność. Ten egzamin wzmocnił mnie moralnie. Profesor mnie przekonywał, a ja chciałem w to wierzyć, że tylko z braku historycznej wiedzy, po wojnie, my autochtoni, spotykaliśmy się z szykanami i nie tylko z werbalnymi próbami pozbawiania nas poczucia godności.

Profesor Wąsicki na tym egzaminie otworzył mi drogę do godnego życia w Polsce. Zachęcił do zebrania materiału źródłowego z historii pogranicza i przygotowanie go do druku. Miałem początkowo trudności, ale wraz z zagłębianiem się w temat opanowała mnie wręcz euforia. Byłem dumny z ludzi i z regionu, w którym żyłem. "Materiały i dokumenty" wydane w latach siedemdziesiątych uzyskały wyróżnienie Instytutu Spraw Międzynarodowych, a z Baltimore w Stanach Zjednoczonych do wydawcy, Lubuskiego Towarzystwa Naukowego, przyszło podziękowanie za wartościową pozycję.

Kiedy i gdzie spotkali się Wiesław Sauter i Jan Wąsicki trudno dzisiaj dociec.

W każdym razie, pewnego letniego dnia w 1962 roku w Stacji Naukowej Polskiego Towarzystwa Historycznego, skromnie koło okna usiadł asystent Joachim Benyskiewicz, mając za szefa Władysława Korcza, laureata Lubuskiej Nagrody Kulturalnej, człowieka tryskającego energią, zespolonego ze środowiskiem jak mało kto. Od 1958 roku przewodniczący zielonogórskiego Zarządu PTH oraz wiceprezes Lubuskiego Towarzystwa Kultury. W tym roku powołano także Kolegium Rocznika Lubuskiego, wydawnictwa, o które bardzo zabiegał Władysław Korcz. W maju na nadzwyczajnym zebraniu wybrano Jana Muszyńskiego na sekretarza Oddziału, z siedzibą w Muzeum, gdzie sublokatorem była właśnie Stacja Naukowa. Ośrodek Badawczo-Naukowy przy Lubuskim Towarzystwie Kultury, które także miało sie-

dzibę w gmachu muzealnym, zajmowało pokój wspólnie z PTH i w ten sposób zostało sublokatorem sublokatora. Jako kierownik tego Ośrodka nie czułem się źle, gdyż wszyscy byliśmy zanurzeni w pracach historycznych. Teraz doszedł do tego pokoju Benyskiewicz i moim zadaniem było posadzić go przy biurku, gdyż takiego Joachim nie posiadał. Przy warsztacie pracy szefa mógł zasiadać, wręcz ukradkiem, kiedy Władysław Korcz był w terenie. Wystaraliśmy się tedy o talon na biurko i poszliśmy je odebrać do sklepu przy ulicy Żeromskiego. Wtedy nie było jeszcze deptaka. Aleją Niepodległości, od dworca, obok ratusza odbywał się ruch kołowy. Urzędnicy władz miejskich mieli przystanek PKS-u naprzeciw głównego wejścia. Chodniki były wąskie i osadzone wysoko ponad jezdnią. Postawiliśmy biurko na ulicy, nogami w rynsztoku, aby trochę pourzędować. I wtedy zainteresował się nami milicjant legitymując i rozpytując szczególnie Benyskiewicza, co robi w Zielonej Górze. Nie zaakceptował także jego stanowiska asystenta. Wreszcie ze słowami, aby się to nie powtórzyło i z poleceniem rozejścia się, łaskawie nie potraktował nas mandatem, mimo, że się długo odgrażał. Wynieśliśmy potężne biurko szefa Stacji, które otrzymał z Ligi Ochrony Kraju, na korytarz muzealny i czekaliśmy na właściciela tego monstrualnego mebla. Wreszcie Joachim krzyknął: - O Jezus Maria, właśnie idzie!

Gdy Władysław Korcz wszedł do gmachu, spotkał tłumek muzealników i mnie na biurku z piłą płatnicą, z gestem słabego człowieka niemogącego odciąć potężnego, środkowego blatu od dwóch szafek. Biurko było pokryte szarym linoleum, teraz pozbawione tego, przedstawiało pokancerowaną powierzchnię, na której w 1945 roku dzielono świńskie połcie. Władysław Korcz, jako drwal, pobierał nauki z tego zakresu na Syberii, teraz przypomniał sobie tamte czasy. Z wściekłością podzielił biurko na części, i kiedy środkowa część plasnęła na kamienną posadzkę, spojrzał na mnie z nieukrywaną pogardą i lekkim, prawie tanecznym krokiem udał się do lokalu Stacji. Ja już nie słyszałem tego ryku, ale opowiadano mi, że dobrze zrobiłem salwując się ucieczką, gdyż: *Pan magister Korcz zapewne by ciebie* zabił.

Teraz, kiedy Joachim miał już biurko, zaczął poznawać lokatorów muzeum, bratać się z pracownikami merytorycznymi, a nade wszystko prowadzić długie dyskusje.

W lipcu 1957 roku wyszedł numer specjalny "Nadodrza". W tej jednodniówce pisało 30 osób, a ilustracje pomieściło 7 plastyków. Wkrótce Joachim poznał większość z nich osobiście, a z niektórymi osobami szczerze się zaprzyjaźnił. Dawny Wojewódzki Konserwator Zabytków, wówczas dyrektor muzeum, Klem Felchnerowski, archeolodzy Edward Dąbrowski i Adam Kołodziejski, winiarz Bogdan Kres, to byli codzienni goście w Stacji Naukowej. Nadzwyczaj towarzyski fotografik muzealny Tadeusz Ambroż i jego imiennik Ciepiela, wicedyrektor muzeum bez własnego biurka, przesiadujący najchętniej w ciemni fotograficznej, zapraszali na golonkę, kiełbasę a nawet smażonego królika. Gościem, zawsze z radością witanym był artysta malarz Stefan Słocki. Nosił przewieszony przez ramię skórzany barek z zakąską. Grzybki, kiszone ogórki wraz z suchą kiełbasą. Zachodził także Janusz Koniusz, uznany już wówczas poeta, krótko uczestniczący w twórczych dyskusjach, zawsze zaaferowany, życzliwy dla całego świata, ale nieznoszący libacji. To on wprowadził Joachima do lubuskiej literatury przez wspólną publikację "3: O dla polskości" wydaną w 1962 roku z okazji jubileuszu polonijnego klubu piłkarskiego "Polonia". Kiedy Koniusz pojechał do Nowego Kramska, właśnie tam wskazali Joachima jako najzdolniejszego piłkarza, godnego odnotowania w okolicznościowej laurce.

W grudniu 1958 roku we Wrocławiu odbył się Ogólnopolski Walny Zjazd Związku Literatów Polskich. Z naszego miasta zaproszenie otrzymali: - Tadeusz Jasiński, Tadeusz Jankowski-Kajan, Kazimierz Malicki, Ryszard Rowiński i Bolesław Soliński. Wszyscy wymienieni zostali kolegami Joachima, a kiedy Benyskiewicz, w roku 1965 został szefem Towarzystwa Wiedzy Powszechnej, znajomości zawarte w Stacji zaowocowały znajomymi prelegentami TWP.

Pierwsze spotkanie asystenta z Władysławem Korczem nastąpiło w księgarni przy ulicy Żeromskiego, w znanej wówczas księgarni Borowczaka. Joachim poszedł tam i nagle usłyszał głos negatywnie oceniający jakąś publikację. Osoby nie widział. Po jakimś czasie spomiędzy regałów wyszedł średniego wzrostu, krępy mężczyzna i Joachim się przedstawił.

- Skąd wiedziałeś, że to Władysław *Korcz?*

- Nie wiem, ale byłem pewny, że to właśnie On.

Władysław Korcz był znany jako znakomity prelegent i historyk.

W 1959 roku ukazały się "Dzieje Ziemi Lubuskiej w wypisach". Nazwisko Korcza przez współautorstwo publikacji pionierów z poznańskim uczonym, Michałem Sczanieckim, zostało na naszym prowincjonalnym gruncie znakomicie nobilitowane. Wielkie uznanie zyskało stanowisko Władysława Korcza, kiedy wycofał swoją publikację z "Gazety Zielonogórskiej", gdy redaktor naczelny posługując się encyklopedią Kraju Rad, zakwestionował Kazimierza Wielkiego, degradując króla do określenia go liczbą jako trzeciego. Stalinowscy encyklopedyści nie mogli znieść, że zajął Ruś Halicką. Nasi rodzimi komuniści nie mogli natomiast wybaczyć, że utracił Śląsk i Pomorze, co było fatalnym następstwem w stosunku do Niemców, którzy przecież w wyniku obcej nam imperialnej polityki w sposób absolutnie niegodny przez setki lat szarogęsili się na naszych piastowskich ziemiach. Aksjomat, że wyłącznie zrabowali te ziemie tracił na ostrości.

Z Władysławem Korczem dyskusje Joachima dotyczyły rozeznania obszaru zwanego Ziemią Lubuską, złożonego z fragmentów krain historycznych, Brandenburgii, Saksonii, Śląska i Wielkopolski. Określano specyfikę tych obszarów, skomplikowaną przeszłość oraz aktualne znaczenie w procesie kształtowania świadomości historycznej.

"Cóż to bowiem jest historia? - pyta profesor Henryk Samsonowicz - to pamięć. Pamięć, bez której nie istnieje żadna ludzka wspólnota".

Moi pradziadkowie, dziadkowie i rodzice urodzili się na pograniczu. Przez ich życiorysy i mrówczą pracę mogę myśleć jako o wspólnocie losów wszystkich mieszkańców pogranicza. O ile jeszcze dodam, że z pamiętnika mojej Mamy wynika, że siostra mojej babci wyszła za Beneszkiewicza (to pisownia mojej Mamy) oraz, że mieszkali w Nowym Kramsku i jak pisze moja Mama o swojej: - Mama tam od czasu do czasu jechała to mnie zawsze zabierała, to nie jest dziwne, że dociekam prawdy, aby te zdarzenia jakoś powiązać i wyjaśnić ewentualny stopień pokrewieństwa, co wcale nie jest łatwe. Moja Mama rozmawiała na ten temat z Joachimem, ale niestety, Chimek nie znał dziejów swojej rodziny. W tej materii okazał się wręcz ignorantem. Moja kuzynka, profesor łódzkiej Akademii Sztuk Pięknych, zajmująca się fachowo, aczkolwiek po amatorsku genealogią swojego rodu, wykreśliła także linię sagi mojego chłopskiego pochodzenia. Moja babcia Teresa, z domu Setna, urodzona w Chobienicach, która żyła 80 lat, miała 3 siostry, Teklę, Katarzynę i Mariannę. Właśnie Tekla, żyjąca 82 lata, w roku 1913 wyszła za Benyszkiewicza z Kramska. Tak zapisała nazwisko prof. Aleksandra Mańczak. Natomiast Marianna w roku 1923 wyszła za Marcina Mańczaka, dziadka Aleksandry.

Aby sprawę poprawnej pisowni wyjaśnić, poprosiłem przyjaciela, znawcę rodów śląskich, Pawła Trzęsimiecha o pomoc. Paweł mi napisał: -"Czasem pisano Banyskiewicz lub Benyszkiewicz. Nazwisko Benyskiewicz, pochodzi od imienia Benedykta lub Benona, już w 1536 roku zanotowano nazwisko w brzmieniu Beniskiewicz. (Kazimierz Rymut, *Nazwiska Polaków*, Ossolineum 1991 s. 83). Ważnym źródłem do naszej zabawy okazał się "Dokument opata Miastowskiego" z roku 1683 spisany w Obrze omawiający powinności chłopskie w dobrach przyklasztornych.

(Rocznik Lubuski I. Zygmunt Rutkowski, Materiały, s 273).

Tam zapisany został Bartosz Benysek jako właściciel dwóch łąk i Paweł wysunął hipotezę, że od tego Benyska wywodzą się Benyskiewicze, jakby niezależnie zniekształcano w pisowni ich nazwiska. Oznajmił także, że w XVIII wieku w Nowym Kramsku odnotowano Benyskiewiczów jako karczmarzy. Moja Mama zaś, w XX wieku, jednego o tym nazwisku zapamiętała jako szewca.

Dr Mieczysław Wojecki, chętnie przystąpił do badań i ustalił, że Benyskiewiczów jest ogółem w Polsce 78 osób, w zielonogórskim 52 osoby, a w woj. poznańskim 10. Reszta gdzieś w Polsce. Joachim w rozmowie z moją Mamą wiedział tylko, że jego ojciec był organistą, a mama pedagogiem. Dla niego ustalamy, że gniazdem rodzinnym Benyskiewiczów jest Stare Kramsko, natomiast byli, względnie są, mieszkańcami: - Nowego Kramska, Kolesina, Gościerzyny, Kopanicy, a za jego sprawą zamieszkują w Zielonej Górze przy ulicy Polanka, gdzie się pobudował wespół z synem Krzysztofem.

Paweł Trzęsimiech ustalił trasę i wyruszyliśmy na szlak Joachima Benyskiewicza zaznaczony jego życiorysem, począwszy od Nowego Kramska.

Dom w którym się urodził stoi na wzniesieniu. Droga o wczesnodziejowej metryce, łagodnym zakolem omija wyniesienie, aby szeroką wielkopolską równiną doprowadzić do Babimostu. Dom kryty dachówką o dachu dwuspadowym, stoi szczytem do szosy. W połaci dachu, od strony wiejskiej zabudowy, wyniesiono ponad jego spad, trójokienny świetlik. Dom na zewnątrz nosi ślady generalnego remontu i częściowej przebudowy. W ścianie szczytowej pozostawiono dwa okna. Górne rozmieszczono centralnie, dolne poza osią budynku, z lewej strony. Elewacja frontowa posiada dwa okna i wejście umieszczone centralnie. Okna wszystkie powiększone, dwudzielne, w plastykowym obramieniu. Wnętrze także całkowicie przerobione.

Usunięto ścianę dzielącą sypialnie od pokoju stołowego. Pokazano mi miejsce, w którym stało łóżko Joachima, które opuścił w wieku 17 lat. Wtedy zamieszkał, jak mówiono, w bursie sulechowskiego Pedagogikum.

Siostra Joachima Wanda i wnuczka Benyskiewiczów, Wioletta, przyjęły mnie i Pawła niezwykle gościnnie. Oprowadziły po domu, absolutnie miejskim, z kuchennym laboratorium, z własnym drożdżowym ciastem, z dobrą kawą i obdarzono życzliwą informacją. Najbardziej mnie zadziwiło, że na strychu Chimek miał kapliczkę, był dzieckiem religijnym, wzorcowym ministrantem i bardzo pragnął zostać księdzem. Jedyną namiętnością trudną do poskromienia była miłość do piłki kopanej. W internacie Studium Nauczycielskiego w Sulechowie był od 1951 do 1953. Od 1954 do 1957 nauczał w Jabłonnie. Tam poznał Marylkę, swoją przyszłą żonę, także nauczycielkę. W Podmoklach Wielkich pedagogiczną służbę pełnił od 1957 do 1959. W gronie nauczycieli był powszechnie lubianym, towarzyskim, z własnym poglądem na świat. Do tego stopnia, że podczas egzaminu z podstaw marksizmu, u profesora Władysława Markiewicza, usłyszał uwagę, iż egzaminującego nie interesują poglądy i filozofia studenta, tylko opanowanie materiału. Joachim porzucił wtedy krytyczne uwagi do marksistowskich koncepcji, zdał na dobrze, a mimo to Marksa i Engelsa nie szanował, czym zdobył z kolei uznanie u Władysława Korcza. W latach 1959-1962 Joachim Benyskiewicz był kierownikiem szkoły w Uściu. Potem była już tylko Zielona Góra.

Powróćmy jeszcze do domu Benyskiewiczów w Nowym Kramsku, do czasów kiedy nie zmieniono jeszcze układu przestrzennego wnętrza, a więc do czasów przed 1945 rokiem. Gdy zaczęto powszechnie mówić o wojnie, krokwie więźby dachowej obito deskami i w uzyskanej przestrzeni pozornej podsufitki schowano ponad dwieście tomów biblioteki polskiej szkoły. W Nowym Kramsku, wybitny działacz polonijny Jan Baczewski otworzył dnia 11 czerwca 1926 roku dwudziestą szóstą z kolei szkołę dla ludności rodzimej na pograniczu. Uczęszczało do niej 80 dzieci, a nauczało 3 nauczycieli. Zebranych na inauguracji powitał Król Polaków Jan Cichy. (Rocznik Lubuski I. Tadeusz Kajan, Pierwszy wśród równych, s. 207 oraz tamże: Wiesław Sauter, *Jan Cichy*, s. 138). Do roku 1939 zgromadzono pokaźny księgozbiór. Zakonspirowana, znakomita część biblioteki przeczekała tam całą wojnę. Mało tego. W piwnicy przechowano paramenty kościelne. Naczynia sakralne, przybory mszalne ozdobne księgi liturgiczne, kielichy i monstrancje, a nawet istotniejsze obiekty związane z obrzędem kościelnym. Otwór zamurowano tak fachowo, że nawet opukiwanie ścian w piwnicy przez żołnierzy radzieckich nie dało oczekiwanych przez nich rezultatów.

Wiesław Sauter otwierał ponownie polską szkołę w Nowym Kramsku 8 maja 1945 roku. Pani Jadwiga Benyskiewiczowa przekazała wówczas ocalałą bibliotekę, mówiąc o dramacie, jaki przeżywa, z braku uczestnictwa w tym akcie jej męża Jana.

Jesienią 1944 roku, kiedy Rzesza niemiecka ginęła ostatecznie, wcielano do Wehrmachtu nawet niepewnych Polaków. Zrobiono ostatnie przed rozstaniem zdjęcie. Wnuczka Jana i Jadwigi mówi, że musiało być wówczas chłodno gdyż wszyscy byli ciepło ubrani. Ojciec Joachima już z wojny nie wrócił. Według niesprawdzonych informacji zginął pod Toruniem. Nie śmiałem tego powiedzieć, ale moja Mama mówiła, że rozstrzelano wówczas kilku Polaków, rzekomo za próbę dezercji.

Z domu Benyskiewiczów widać kościół pod wezwaniem Narodzenia Najświętszej Maryi Panny. Na cmentarzu kościelnym pozostawiono tylko trzy groby proboszczów. Ogrodzono je żeliwnym płotkiem. Przy murze kościelnym rzeźbiarz wrocławski Marian Aleksandrowicz ustawił ponad trzy metrowe wyobrażenie w drewnie lipowym Matki Boskiej z dzieciątkiem. Artysta planuje jeszcze monumentalnego Jezusa Frasobliwego. W sąsiedztwie kościoła i drogi do Babimostu, głaz narzutowy z tablicą siedmiu poległych powstańców w roku 1919, o których pisał Joachim Benyskiewicz. Pomnik jest skromny, wyniesiony na trzech schodkach, opięty łańcuchami, upamiętnia zryw powstańczy, ale i historyczne przemijanie. W walce z powstańcami poległo czterdziestu Niemców. Poniósł śmierć także pruski dowódca Fedor von Kleist. Aby czas nie zatarł pamięci o jego zbrojnym czynie, 20 września 1937 roku, "po wieczne czasy" przemianowano Nowe Kramsko na Kleistdorf.

Stąd pojechaliśmy, przez Korolewo, Laski do Podmokli. Tę trasę Joachim pokonywał rowerem, gdy w tej miejscowości był nauczycielem. Stale mi się wydawało, że do Podmokli jest *zawsze pod wiatr* - wspominał ten okres Benyskiewicz. Przez Kargową dotarliśmy do Uścia. Zrobiliśmy zdjęcie przestronnego budynku szkoły, stodoły oraz, jak byśmy współcześnie powiedzieli – sanitariatów, wydzielonych w tym obszernym układzie przestrzennym. Lokalizacja szkoły jest wręcz znakomita - poza wiejską zabudową, na skraju wsi. Solidna wiejska szkoła, zbudowana z czerwonej klinkierowej cegły, po dzień dzisiejszy jest w doskonałym stanie technicznym. Składa się z dwóch zespolonych brył. Jedna ustawiona kalenicą, druga nieco wysunięta z linii zabudowy, szczytem do drogi. Joachim był tutaj kierownikiem, dyrektorów wtedy jeszcze nie było. Wieś to rozciągnięta ulicówka na prawym, wielkopolskim brzegu Obrzycy. Pierwsza zachowana wzmianka z 1379 r. brzmi Ujście. Potem, w 1653 r. Uście. Zabytki kartograficzne z XVII i XVIII wieku odnotowują nazwę wsi jako Tepperbuden. Po 1945 roku, aż po 1951 ludność wsi mieszka w Teperbudach. Słownik nazw geograficznych Polski zachodniej przywraca nazwę wsi - Uście. (Tomasz Andrzejewski., *Miejsco*wości powiatu nowosolskiego. Rys historyczny, Nowa Sól 2004, s. 217). Paweł w roku 1977 organizował spływ kajakowy rzeką Obrzycą, zwaną (co zaznaczył) przez Długosza Obrą. Pełni wrażeń, przez czyste wsie: Kolsko, Bojadła, Konotop, Radowice i Cigacice, dotarliśmy do Zielonej Góry. I pomyśleć, mówił Paweł, że te badane przez archeologów tereny, *legity*mujące się *metrykami wczesno*średniowiecznymi, to były miejsca, *gdzie Polakom nie* dawano żyć. Ja zaś dodałem: - *Przy* wyjątkowych wartościach genetycznych, *Joachima Benyskiewicza* jako naukowca wykreował właśnie ten trudny klimat. Trzy osoby *natomiast st*worzyły jego życi*orys* - Wiesław Sauter, Jan Wąsicki i Hieronim Szczegóła.

Jan Muszyński

Zielona Góra, dnia 5 stycznia 2006 r.

Muzeum w Zielonej Górze w pierwszych latach po II wojnie światowej (1945-1950)

Znajdujące się w Zielonej Górze niemieckie *Heimatmuseum*, które zorganizowano wedle zasad obowiązujących w niemieckim systemie muzealnym istniało od 1922 roku, prezentując na wystawach przeszłość i charakter mikroregionu zielonogórskiego tzw. *Heimatu*, od pradziejów po współczesność, pozostało po wojnie w stanie prawie nie- naruszonym.

Miasto nie objęte działaniami militarnymi uchroniło się generalnie przed zniszczeniem zabudowy. W związku z tym ocalał budynek muzeum, a poniesione szkody sprowadzały się do kilku stłuczonych szyb w oknach (co było prawdopodobnie skutkiem wybuch pocisku). Zbiory muzealne nie uległy także większym zniszczeniom, nie zubożyła ich również w sposób znaczny obecność pojawiających się tu polskich szabrowników, ani też nie miała zgubnych konsekwencji na stan posiadania muzeum rabunkowa postawa wojsk radzieckich. Niemiec Martin Klose (założyciel instytucji, dotychczasowy jej kierownik) pomimo zmienionej sytuacji politycznej przebywał nieustannie w muzeum, chroniąc wraz ze stróżem muzealnym znajdujących się w nim dóbr.

Muzeum określone nazwą *Muzeum Miejskie w Zielonejgórze* (pisownia oryginalna), przemianowane z poniemieckiego muzeum na polskie, funkcjonować zaczęło formalnie na prawach instytucji municypalnej z końcem 1945 roku. Dokładnie, od listopada tegoż roku Zarząd Miejski zatrudnił pracowników, którzy już wcześniej pracowali społecznie. Na stanowisko kustosza przyjęto ponownie do pracy dr Martina Klose. Przydzielono mu do pomocy tłumaczkę polską Eugenię Łychowską, awansowaną później do funkcji kierowniczej. Woźnym i zarazem stróżem został Antoni Hanh, który już od kilku miesięcy (po wysiedleniu jego poprzednika do Niemiec) zaangażowany był w ochronę budynku muzealnego. Na posiedzeniu Tymczasowej Miejskiej Rady Narodowej 17 grudnia 1945 roku uchwalono budżet muzeum. Na rok 1945/1946 wynosić on miał 90 tysięcy złotych (w tym, 10 tys. zł z kasy miasta oraz 80 tys. zł z dotacji Ministerstwa Kultury i Sztuki).

W pierwszych miesiącach funkcjonowania muzeum było ono zamknięte dla szerszej publiczności, natomiast zainteresowane osoby mogły zwiedzać jego wnętrze za specjalnym zezwoleniem burmistrza. Jako powód nieudostępniania ekspozycji, sprawozdania muzealne podawały "niepewną sytuację". Pracownicy zaś w tym czasie skoncentrowani byli na inwentaryzacji zbiorów i przygotowa-

niu wystaw do otwarcia. Ich praca polegała głównie na uzupełnianiu gablot i witryn eksponatami, które zabezpieczone zostały w piwnicach w ostatniej fazie wojny. Przywrócony został wcześniejszy, opracowany w okresie niemieckim stan ekspozycji.

Przygotowane wystawy na okoliczność pierwszego powojennego udostępnienia muzeum, nie zmienione zostały bowiem w zasadniczy sposób w porównaniu do wystaw z czasów niemieckich. Oprócz niewielkich ingerencji, sprowadzających się w głównej mierze do przetłumaczenia podpisów na ekspozycjach z języka niemieckiego na polski, nieznacznych przeobrażeń aranżacyjnych (przemieszczeniu niektórych zespołów muzealiów), wyeliminowaniu kilku portretów (przede wszystkim wizerunków królów pruskich) na wystawie historycznej oraz prawdopodobnie pewnych zmian merytorycznych (dotyczących nazewnictwa i klasyfikacji archeologicznych kultur etnicznych wedle stanowiska nauki polskiej), nie dokonano wówczas istotniejszych przekształceń. Zachowano analogiczny układ ekspozycji, nadając im podobne nazwy (np. Dział Prehistoryczny, Dział Historii Miasta Zielona Góra, Dział Winiarstwa, Dział Rzemiosła i Cechów). Wnętrze muzealne wyglądem i klimatem przypominało dawniejsze *Heimatmuseum*.

Pomimo przyznanych wcześniej subwencji ministerialnych, pieniądze (w kwocie znacznie mniejszej niż deklarowana suma) napłynęły do muzeum dopiero w maju 1946 roku. Spowodowało to opóźnienie w pracach przygotowawczych do udostępnienia budynku muzealnego. Na tydzień przed otwarciem rozpoczęto remont. W rezultacie odświeżona została jedynie fasada budynku. Pozostałe prace odłożono na późniejszy termin.

Uroczyste otwarcie muzeum (połączone z poświęceniem budynku) nastąpiło 1 czerwca 1946 roku. Wydarzenie to miało upamiętniać pierwszą rocznicę przejęcia miasta przez administrację polską. Kierowniczka E. Łychowska wobec licznie zgromadzonych gości (jak podają materiały archiwalne) wygłosiła przemówienie, które zwieńczone zostało słowami pełnymi patosu: ...wierzę, że nasze Muzeum będzie chociaż niewielkim, lecz trwałym bastionem polskości na tej najbardziej na Zachód wysuniętej placówce. W sierpniu tego roku muzeum zielonogórskie wstąpiło do Związku Muzeum w Polsce.

Ze względu na to, że ekspozycje muzealne reprezentowały niemiecką kulturę regionu, stan Muzeum Miejskiego w Zielonej Górze był wielokrotnie przedmiotem krytyki na łamach lokalnej prasy ("Głosu Wielkopolskiego") i niezadowolenia ze strony nadrzędnych wojewódzkich władz w Poznaniu. Pismem z dnia 21 listopada 1946 roku, wystosowanym do Zarządu Miejskiego w Zielonej Górze zagroziły one wstrzymaniem subwencji dla muzeum zielonogórskiego: *...dopóki Muzeum to nie zostanie prowadzone w takiej formie, która by zapewniła nam, że służy ono polskim celom kulturalnym a nie niemieckiemu regionalizmowi.* Jednoznacznie polskie treści i przesłanie wystaw, spolszczenie muzeum było wówczas najistotniejszym zadaniem. Oczekiwano gruntownych zmian instytucji. Nakazano usunięcie pracownika niemieckiego.

Ekspozycja Działu Rzemiosła i Cechów.

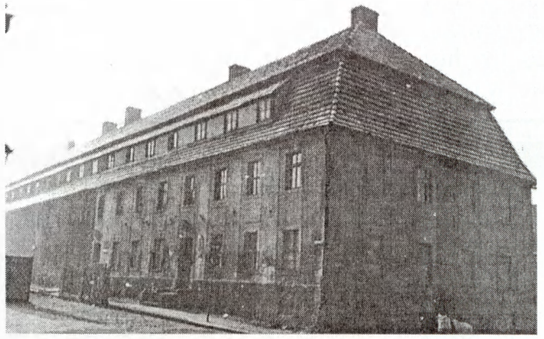

Budynek muzealny przy ulicy Szkolnej (obecnie ul. K. Lisowskiego).

Kierowniczka muzeum, osamotniona w swych działaniach, bezradna wobec ogromu pracy możliwej tylko do wykonania dla zespołu specjalistów, aby całkowicie przekształcić wystawy i sklasyfikować na nowo zbiory dawniejszego muzeum niemieckiego, próbowała chociaż wprowadzić do ekspozycji akcent polski. Na wiosnę 1947 roku (po dłuższym okresie niefunkcjonowania ekspozycji ze względu na brak środków na opalanie budynku w miesiącach zimowych) w pomieszczeniu muzeum przez dziesięć dni eksponowana była wystawa rzeźby artystki polskiej Wandy Sokołowskiej, przybyłej do miasta na fali powojennych migracji.

Łychowska, zdeterminowana, działając pod presją, usiłowała wymyślić jakiś program, w którym zaistniałyby wystawy o charakterze stałym mówiące o polskości. W związku z tym zamierzała zorganizować nowy dział ekspozycyjny: dział pamiątek polskich i śladów polskości na Śląsku, co zostało przez nią ujęte w programie działalności wystawienniczej na rok 1948, przesłanym do Ministerstwa Kultury i Sztuki w Warszawie. Jednocześnie, zwracała się kilkakrotnie do władz poznańskich z prośbą o przekazanie w depozyt ze zbiorów Muzeum Wielkopolskiego w Poznaniu, obrazów autorstwa polskich artystów lub sfinansowanie prac plastyków zamieszkałych w Zielonej Górze po wojnie. Zabiegi te jednak nie przyniosły rezultatów. Wprawdzie wyeksponowano w muzeum zielonogórskim z poznańskich zasobów muzealnych wystawę "150 lat malarstwa polskiego", była ona jednak ekspozycją objazdową, prezentowaną po kilka dni w różnych miejscowościach ówczesnego województwa poznańskiego. W Zielonej Górze pokazywano ją w kwietniu 1948 roku tylko przez sześć dni. Jak donosiła prasa, obejrzała ją tutaj rekordowa liczba 800 widzów. Nie zmieniło to oczywiście sytuacji w sposób radykalny. Po odejściu kierowniczki, muzeum pozostało w ogóle bez opieki merytorycznej. Decyzją burmistrza Mikołaja Meszy zostało ono zamknięte jesienią 1948 roku.

Zbiory muzealne znajdujące się na dotychczasowych wystawach zostały wkrótce wyeksponowane w zmienionej postaci. Przekształceń ekspozycji dokonali pracownicy Muzeum Wielkopolskiego oraz Muzeum Archeologicznego w Poznaniu. Ze względu na brak dokładnych informacji w zachowanych materiałach archiwalnych, nieznane są szczegóły, w jaki sposób muzealnicy poznańscy dokonywali zmian i jak ostatecznie wyglądały wystawy otwartego ponownie z końcem 1948 roku muzeum w Zielonej Górze. Wiadomo, iż zredukowano znacznie powierzchnię ekspozycyjną w porównaniu do wcześniejszej, i że w dalszym ciągu na nowo zorganizowanych wystawach dominującym materiałem były zabytki pochodzenia niemieckiego.

Punktem zasadniczym udostępnionych wówczas ekspozycji, wedle przypuszczeń (co znajduje potwierdzenie w obowiązującej koncepcji wystawienniczej w muzealnictwie polskim drugiej połowy lat czterdziestych) była wystawa archeologiczna. Jak można domniemywać, zaprezentowano na niej pradzieje regionu zielonogórskiego (posiłkując się niemieckimi eksponatami) w oparciu o klasyfikację oraz nazewnictwo stosowane na gruncie nauki polskiej. Natomiast inne zabytki (wybierając tylko nieznaczną ich część będącą na stanie muzeum) pogrupowano na wystawach w następujące kategorie: rzemiosło artystyczne, ceramika, szkło i przypisano im proweniencję śląską. Całkowicie nowy element ciągu ekspozycyjnego stanowiła prezentacja dziewiętnastowiecznych (jak podają archiwalia) obrazów malarzy polskich (niewykluczone, że wśród nich były również wcześniejsze osiemnastowieczne obrazy oraz malarstwo z okresu międzywojennego), które pochodziły z poznańskich zbiorów muzealnych. *Galeria Malarstwa Polskiego* - jak nazwano zdeponowany niewielki zespół obrazów – była zarazem najważniejszą, najbardziej oczekiwaną wówczas zmianą. W takiej postaci muzeum przetrwało kilka miesięcy. Dozorował je stróż. Był on wtedy jedynym pracownikiem muzeum.

Jesienią 1949 roku zlikwidowano wystawy (składając eksponaty do pokoi wyeliminowanych z ciągu ekspozycyjnego), natomiast pomieszczenia muzealne przeznaczone zostały na potrzeby wojska, a mianowicie na lokal Komisji Poborowej. W tym czasie, pełniącą obowiązki kierownika muzeum została Krystyna Klęsk (etnograf z wykształcenia), która była pracownikiem Starostwa Powiatowego w Zielonej Górze. Udostępniła ona ponownie część ekspozycji, w pierwszej kolejności wystawę malarstwa polskiego. Zorganizowała Towarzystwo Przyjaciół Muzeum.

W grudniu 1949 roku dokonano przekazania instytucji przez zielonogórski Zarząd Miejski władzom państwowym. Akt upaństwowienia brzmiał: Muzeum Miejskie w Zielonej Górze podlega przejęciu przez Ministerstwo Kultury i Sztuki w zarząd i użytkowanie Państwa. Muzeum zielonogórskie upaństwowione jak większość muzeów w Polsce, z początkiem 1950 roku włączone zostało oficjalnie w poznański okręg muzealny i otrzymało statut muzeum regionalnego.

Anna Ciosk

Tekst powstał w oparciu o długoletnie badania autorki, dotyczące historii muzealnictwa zielonogórskiego. W badaniach wykorzystane zostały zasoby archiwalne: Muzeum Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze, Muzeum Narodowego w Poznaniu, Archiwum Państwowego w Zielonej Górze z siedzibą w Starym Kisielinie.

Bereziacy
(część 1 - Przesiedlenie)

Jest wiele miejsc na Polesiu, które na trwałe zapisały się na kartach historii, miejsc w których rozgrywały się zarówno epizody, jak i kluczowe rozstrzygnięcia mające decydujący wpływ na bieg dziejów. Przykładem takiego miejsca jest miasteczko Bereza Kartuska (nad rzeką Jasiołdą) i jej okolice. Dziś to trzydziestotrzytysięczne miasto najczęściej kojarzone jest z istniejącym tam w latach 1934/39 obozem odosobnienia dla więźniów politycznych ówczesnych polskich władz. Ale Bereza Kartuska to nie tylko ten obóz. Wzmiankowana już w XV wieku, może poszczycić się wspaniałym (niestety, dziś już w ruinie) klasztorem zakonu Kartuzów, ufundowanym w 1648 r. przez podkanclerzego Kazimierza Leona Sapiehę. Klasztor ten wizytowali m.in. królowie polscy Stanisław Leszczyński i August II Sas, a Karol XII król Szwecji w 1706 r. osobiście rzucił się do ataku na broniących się wewnątrz Rosjan.

W rejonie Berezy rozgrywały się walki powstania kościuszkowskiego, listopadowego i styczniowego. Bereza to także miejsce urodzenia, zamieszkania czy działalności wielu ludzi, których dokonania pozostały na zawsze w pamięci pokoleń. Z miasta tego pochodzi np. niedawno zmarły Prezes Polskiej Akademii Nauk - Mirosław Mossakowski, czy pierwszy ambasador Polski w NATO – Andrzej Towpik. O Berezie można by pisać wiele....

W niniejszym artykule zostanie przedstawiona sprawa repatriacji tamtejszej ludności polskiej w latach 1945-1947, na przywrócone Polsce po wojnie, w ramach strat terytorialnych na Wschodzie, tzw. Ziemie Zachodnie. Opisując tu bliżej powody i przebieg repatriacji, przedstawię również pierwsze lata na nowej ziemi w Ochli, wsi gdzie osiedliła się bodaj największa grupa Bereziaków. Pragnę także wspomnieć o tym, że pomimo upływu ponad półwiecza, pamięć i przywiązanie do rodzinnych, zabużańskich stron jest wśród tych ludzi wciąż żywe.

•

Według danych ze spisu powszechnego, przeprowadzonego w roku 1931, Bereza Kartuska liczyła

4 521 mieszkańców, z których: 51,5 % stanowili Żydzi, 34,2 % Polacy, 3,6 % Białorusini, 10,4 % ludność określająca się jako "tutejsza", nie identyfikująca się z żadną z narodowości, bądź też nie potrafiąca jej określić (była to w większej mierze ludność białoruska). Pozostałe 0,03 % to przedstawiciele innych narodowości. We wsiach w rejonie bereskim bezsprzecznie dominowała ludność białoruska, a odsetek Polaków (poza nielicznymi wyjątkami) był znacznie mniejszy niż w Berezie. Biorąc pod uwagę głównie przyrost naturalny szacuje się także, iż we wrześniu 1939 r. polska populacja mogła wynosić ok. 1 700 osób. Ustalenie faktycznej polskiej populacji w rejonie bereskim, ze względu na poważne uchybienia, jakie zarzuca się przeprowadzanym w okresie międzywojennym spisom powszechnym, jest niezmiernie trudne. Szacuje się jednak, iż w całym rejonie bereskim, osób narodowości polskiej było ok. 15 %.

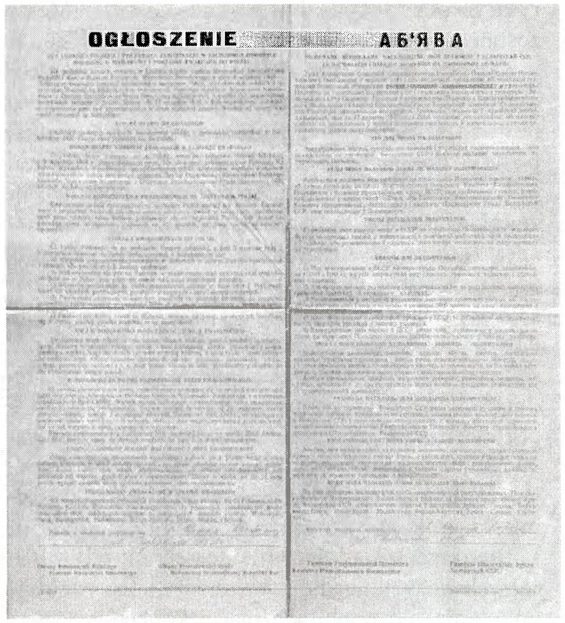
OGŁOSZENIE АБ'ЯВА

Ogłoszenie o repatriacji
(ze zbiorów dra Józefa Radkiewicza z Zielonej Góry)

Dnia 20 lipca Józef Stalin powołał w Moskwie złożony głównie z polskich przedwojennych komunistów Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego (PKWN), który stanowić miał Polski Rząd Tymczasowy. Mimo nielegalności tej organizacji (prawowity rząd polski i prezydent znajdowali się wtedy na uchodźctwie w Londynie) już 27 lipca 1944 r. PKWN podpisał pod presją Stalina układy graniczne z ZSRR, w których zrzekł się terenów wschodnich II Rzeczypospolitej na korzyść Ukraińskiej, Białoruskiej i Litewskiej Republiki Radzieckiej. We wrześniu tego samego roku PKWN zawarł z ZSRR umowy o przesiedleniu ludności z tych republik.

Każda osoba, która do dnia 17 września 1939 r. była obywatelem Polski, ponadto miała polskie lub żydowskie pochodzenie, a w roku 1944 zamieszkiwała tereny tychże republik, otrzymała prawo repatriacji. W tym celu 7 października 1944 dekretem PKWN utworzono Państwowy Urząd Repatriacyjny (PUR). Jego zadaniem było organizowanie i przeprowadzanie akcji przesiedleńczej, a dokładnie, poprzez punkty etapowe PUR, zapewnianie repatriantom noclegu, wyżywienia, opieki medycznej oraz przydzielanie im ziemi, na której mogliby się osiedlić. Umowy pomiędzy ZSRR a PKWN ustalały, iż rejestracja zostanie przeprowadzona od 1 października do 31 grudnia 1944 r., a przesiedlenie od 1 grudnia 1944 do 1 kwietnia 1945 r. Terminy te były jednak przedłużane, ostatecznie do 15 czerwca 1946 r. Jednakże i po tej oficjalnej dacie miały miejsce działania repatriacyjne.

W grudniu 1944 r. w Baranowiczach rozpoczął działalność Pełnomocnik ds. Repatriacji z terenów tzw. Białorusi Zachodniej. Tego samego miesiąca w Berezie Kartuskiej, na domu przy ulicy Uglańskiej nr 25 (należącym do rodziny Olichwerów) załopotała biało-czerwona polska flaga. Wieść o tym niecodziennym w ówczesnym czasie wydarzeniu szybko obiegła całe miasteczko, wywołując uzasadnione poruszenie wśród jego polskich mieszkańców. Jak się okazało, w domu tym rozpoczął swą działalność Okręgowy Urząd Przesiedleńczy. Jego powstanie w Berezie podyktowane zapewne zostało dużym odsetkiem ludności polskiej w tym mieście i jego najbliższych okolicach oraz bliskością szlaku kolejowego Moskwa – Brześć – Warszawa, który miał swoją stację w odległym o kilka kilometrów Błudniu. Ze strony polskiej urzędem repatriacyjnym kierował Okręgowy Pełnomocnik Rzeczypospolitej Polskiej do Spraw Ewakuacji – Jan Surwiłło, zaś ze strony radzieckiej Rejonowy Przedstawiciel Rady Ministrów Białoruskiej Republiki Radzieckiej do Spraw Ewakuacji – Aleksy Iwanow.

Jan Surwiłło, Kamila Zakościelna (?) i Aleksy Iwanow
(ze zbiorów Stanisława Bubnikowicza z Cybinki)

W skład Okręgu Przesiedleńczego "Bereza Kartuska" wchodziło pięć rejonów: Bereza Kartuska, Kossów Poleski, Drohiczyn, Janów i Telechany. Natomiast w skład samego przesiedleńczego rejonu bereskiego poza samym miastem wchodziły m.in. wsie: Białowice, Błudeń, Czerniczne, Dziahelec, Horecz, Jasiewicze, Jastrząb, Koszelewo, Kruhłe, Kruki, Krzywobłoty, Kreczet, Łozowo, Łuczyce, Marianowo, Michnowicze, Nowosiółki, Ogrodniki, Onicewicze, Petelewo, Pieszczanka, Pieńki, Podosie, Porosłowo, Puszcza Szlachecka, Radczyce, Rogacze, Samojłowicze, Siehniewicze, Smolarka, Tychny, Uglany, Zarzecze, Zdzitów, Życzyn i inne.

Polska część komisji repatriacyjnej uważała, iż Polakiem, a tym samym uprawnionym do repatriacji, jest ten, kto za Polaka się uważa. Zachodziła jednak trudna sytuacja w przypadku ludzi o niewyrobionym poczuciu narodowym, czyli tzw. "tutejszych". Niejasna sytuacja występowała również przy rodzinach mieszanych, białorusko-polskich. Tym samym strona radziecka wymagała od kandydata do repatriacji udowodnienia polskiej narodowości, najlepiej przez okazanie poświadczających to dokumentów urzędowych. Wnikliwie sprawdzano polską narodowość, czuwając nad tym, by wyeliminować ubiegające się o prawo wyjazdu rodziny białoruskie. Rosjanie chcieli zostawić na swoich terenach jak najwięcej ludności. W niektórych, jeszcze bardziej położonych na wschód regionach, utrudniano wyjazd nawet Polakom. Jednak mimo

obostrzeń zdarzały się wypadki zapisywania prawosławnych, typowo białoruskich rodzin. Białorusini wyjechać chcieli z tych samych pobudek, co Polacy. W ocenie narodowości odnoszono się do tego, jakim językiem na co dzień posługuje się zgłaszający i jakiego jest wyznania. Powoływano się na "polskiego przodka", a jeśli jednak nie przynosiło to wszystko rezultatów zdarzało się, iż miejscowy ksiądz katolicki wystawiał fałszywe zaświadczenie chrztu. Panował wtedy pogląd - "jak katolik to Polak". Były również przypadki przekupstwa. Niektóre białoruskie rodziny otrzymały zgodę na wyjazd za kilka litrów bimbru, mięso wieprzowe, itp., ówcześnie trudne do zdobycia rarytasy. Wszelkimi sposobami próbowano uzyskać od komisji radzieckiej zgodę na wyjazd, by usłyszeć słowa: *Charaszo,* ujeżżaj! Pierwszeństwo w repatriacji przysługiwało członkom rodzin wojskowych, samotnym kobietom i dzieciom, osobom, których członkowie rodzin przebywali już w Polsce.

Trudno jest określić ilu faktycznie Polaków znajdowało się w rejonie bereskim, w chwili rozpoczęcia repatriacji, gdyż w zasadzie niemożliwym jest ścisłe określenie tamtejszych ofiar II wojny św. Szacuje się jednak, iż życie straciło ok. 10 % przedwojennej polskiej populacji zamieszkującej tamte tereny, a ok. 30 % zostało wysiedlonych lub nadal przebywało pod bronią w różnych alianckich armiach: Armii Polskiej na Zachodzie, Ludowym Wojsku Polskim a nawet w Armii Radzieckiej).

W Armii Polskiej na Zachodzie walczył m.in. brat stryjeczny mojego dziadka - Stanisław Towpik, który do swych rodziców pozostałych w Berezie mógł wrócić dopiero w 1957 r. (zmarł w 1989 r. w wieku 71 lat). Straty w ludziach nie tylko dotyczyły zabitych podczas działań frontowych żołnierzy, ale też śmierci jeszcze większej ilości osób cywilnych, które zabijano w wielu innych okolicznościach. Np. na początku 1944 r. pojawił się nad Berezą, ścigany przez Niemców radziecki bombowiec, który zapewne dla zwiększenia prędkości zrzucił kilka bomb na ul. Glinki. W wyniku tego zdarzenia zostało zniszczonych kilka domów oraz zginęło kilkunastu ich mieszkańców. Wśród ofiar był m.in. inny brat stryjeczny mojego dziadka - Wiktor Towpik. Polscy cywile ginęli również na skutek prześladowań, jakie miały miejsce przez cały okres okupacji sowieckiej w latach 1939-1941, jak i niemieckiej 1941-1944 oraz po ponownym przejęciu tych terenów przez Armię Radziecką. Jeśli chodzi o okupację niemiecką wypada wspomnieć choćby rozstrzeliwania przy klasztornej fosie czy 17 stycznia 1944 r., kiedy to prawdopodobnie w ramach odpowiedzialności za pomoc udzieloną partyzantom, Niemcy spacyfikowali oddaloną nieco na południe od Berezy wieś Zdzitów. Miejscowość została spalona, rozstrzelano też, co najmniej 29 jej mieszkańców z rodzin: Boguszów, Cegielników, Czyżów, Jerszów, Kow(i)enków, Krasowskich, Weryszków i Wojniłowiczów. Były to w większości kobiety, dzieci i starcy. Z niemieckich rąk zginęła też w 1943 r. siostra stryjeczna dziadka (a bezpośrednio siostra Wiktora i Stanisława) przedwojenna, młoda nauczycielka Kazimiera Towpik.

Podczas pierwszej okupacji radzieckiej duży ubytek polskiej populacji spowodowały radzieckie przesiedlenia w głąb ZSRR, głównie w roku 1940, w ramach zwalczania "wrogów ustroju, kapitalistów i kułaków".

Z samej tylko Berezy aresztowano i wysiedlono w głąb ZSRR m.in. rodziny: Abramowiczów, Bielewiczów, Bilewiczów, Jerzyckich, Kalitów, Krutelewiczów, Kubisiaków, Olichwerów, Pińkowskich, Słomińskich, Szydłowskich, Towpików i Uglików. Zarzut kułactwa postawiono także kilku rodzinom białoruskim, a aresztowania miały miejsce jeszcze w połowie czerwca 1941 roku.

Po ponownym wkroczeniu do miasta wojsk radzieckich (w połowie sierpnia 1944 r.) sytuacja zapowiadała się podobnie. Wszyscy wiedzieli, że prześladowania Polaków, to tylko kwestia czasu i tak się też stało. Rekwirowano mieszkania, rozpoczęły się aresztowania, pobicia. Pod koniec marca 1945 r. bereski oddział NKWD aresztował i poddał bestialskim torturom podczas przeprowadzanych przesłuchań, mojego dziadka Aleksandra Towpika. Po dwóch tygodniach udało się doprowadzić do jego zwolnienia, jednak był już w stanie krytycznym. Rodzinę poinformowano, iż jego zły stan jest skutkiem "próby podjętej ucieczki, podczas której spadł ze schodów i nieszczęśliwie się potłukł". W wyniku zadanych mu przez funkcjonariuszy NKWD wewnętrznych i zewnętrznych obrażeń po dwóch tygodniach cierpień zmarł.

Ponieważ historia mojego dziadka nie była odosobniona, nic dziwnego, że Polacy chcąc uniknąć podobnego losu, deportacji na Syberię czy do Kazachstanu, kolektywizacji gospodarki, wywłaszczeń, rusyfikacji i prześladowań religijnych, wreszcie z obawy przed narodowościową i towarzyską izolacją (jeśli np. wieś zamieszkiwało pięć polskich rodzin, to cztery z nich były bezwzględnie zdecydowane na wyjazd), postanawiali opuścić swoje ojczyste strony, które, tak jak i moja rodzina, zamieszkiwali od przeszło stuleci.

Jednak nie wszyscy Polacy wyjechali. Jedni nie chcieli zostawić dorobku swojego życia i jechać w nieznane, na wyjazd nie zdecydowała się też część mieszanych, polsko-białoruskich rodzin. Jeszcze inni czekali na powrót swych bliskich z frontu, jenieckich obozów czy więzień. Niektórzy byli przekonani, że tak czy inaczej, zarówno w Polsce, jak i na Białorusi będą rządzić Rosjanie, jeszcze inni nie wiedzieć czemu, a może właśnie z tych wszystkich wcześniej wymienionych powodów zwlekali z wyjazdem i ostatecznie zostali. Szacuje się, iż w samej Berezie pozostało do 50 % polskiej populacji. Wielu żałowało później swojej decyzji. Jeszcze przed rokiem 1950 została aresztowana i zmarła w więzieniu w Mińsku kuzynka mojej babki Julia Zakościelna (w czasie okupacji niemieckiej m.in. pomagała bereskim i prużańskim Żydom), a jej córkę Kamilę wysiedlono do Kazachstanu. Z rodzinnej posiadłości Zadworze, k. Siehniewicz wygnano innych krewnych mojej babki – rodzinę Szczyglewskich, która już w 1940 r. była przetrzebiona aresztowaniami i zesłaniami w głąb ZSRR.

Jeśli chodzi o społeczność żydowską Berezy, która również otrzymała możliwość repatriacji, to praktycznie została ona niemal całkowicie wyniszczona podczas niemieckiej okupacji. Największe pacyfikacje miały miejsce 15 lipca 1942 roku, kiedy to Niemcy zlikwidowali założone przez siebie getto B oraz w nocy z 15 na 16 października, kiedy działania likwidacyjne objęły getto A. Tylko nielicznym udało się znaleźć schronienie w lesie, przy boku radzieckiej partyzantki. Większość Żydów została zamordowana na położonej niedaleko Berezy - Bronnej Górze.

•

Łącznie z bereskiego okręgu repatriacyjnego w latach 1945-1947 przesiedlono do Polski 13 305 osób (4,85 % wszystkich repatriantów z Kresów Wschodnich), z czego 53 % stanowiły kobiety. Wśród repatriowanych miało być: 13 228 Polaków (99,42 %), 63 Żydów (0,47 %) i 14 osób innych narodowości (0,11 %). Wiekowo grupa ta przedstawiała się następująco: osób młodszych od 15-latków było 4 %, między 15-25 rokiem życia 9 %, w przedziale od 25-40 lat 51,5 %, 40-60 było 30 %, a powyżej 60 roku życia 5,5 %. Zawodowo, aż 46 % było rolnikami, 26 % pracownikami umysłowymi, 22 % nie posiadało żadnego zawodu. Pozostałe 6 % to zawody różne, w tym rzemieślnicy i wykwalifikowani robotnicy).

Charakteryzując bliżej najliczniejszą grupę zawodową należy zaznaczyć, iż ok. 70 % pozostawionych przez repatriantów gospodarstw miało areał o powierzchni między 10-20 ha. Jeśli chodzi o czas wyjazdu, to aż 8 720 osób (65,5 %) wyjechało w 1945 r., 4 400 (33 %) w 1946 oraz 185 osób (1,5 %) w 1947 roku.

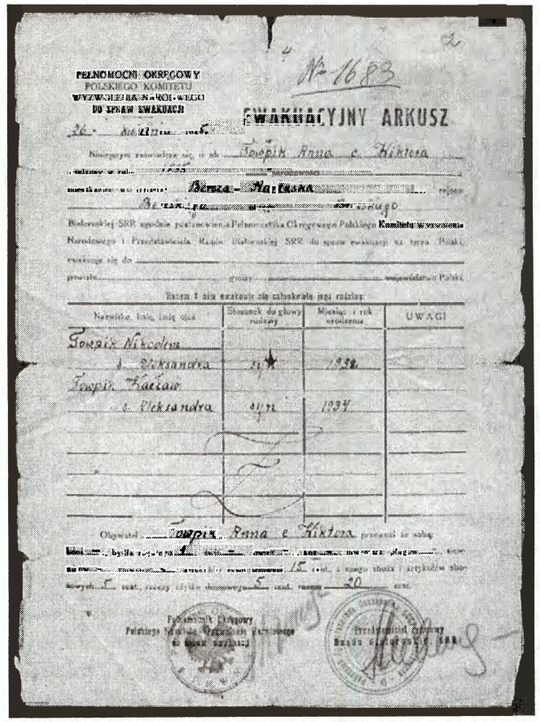
PEŁNOMOCNIK OKRĘGOWY POLSKIEGO KOMITETU WYZWOLEŃCZEGO NARODOWEGO DO SPRAW EWAKUACJI

№ 1683

EWAKUACYJNY ARKUSZ

Towpik Anna c. Wiktora

Berza - Narewska

Towpik Mikołaj

Towpik Aleksandra

Towpik Anna c. Wiktora

Rodzinna Karta Repatriacyjna
(zbiory własne autora)

Każda rodzina mogła wziąć do dwóch ton bagażu w mieniu ruchomym i nieruchomym, a osoby specjalnych zawodów (np. lekarze, rzemieślnicy, artyści) dodatkowo przedmioty niezbędne do wykonywania swego zawodu. Tym samym niemal cały dobytek pozostawiano, biorąc ze sobą najbardziej wtedy niezbędne rzeczy (np. ubrania, podstawowe narzędzia rolnicze) oraz jeśli posiadano, pojedyncze świnie, krowy i konie. Wszystkich zwalniano od uregulowania obowiązkowych dostaw w naturze, podatków i ubezpieczeń. Na proś-

bę repatrianta, po okazaniu przez niego dokumentu stwierdzającego prawo własności, specjalna komisja złożona z referenta szacunkowego (z pełnomocnictwem rejonowym), przedstawiciela lokalnego organu władzy oraz wnioskującego repatrianta-właściciela sporządzała opis i wycenę pozostawionych nieruchomości. Każdorazowo sporządzano kartę repatriacyjną, jednoosobową lub rodzinną. Większość przeczuwała, że wyjeżdżają na zawsze, nie wiedzieli jednak, dokąd jadą i co ich spotka na nowej ziemi.

•

Pierwszy niewielki transport wyruszył z Berezy prawdopodobnie z początkiem stycznia 1945 roku, a ludzi z niego osiedlono w okolicach Białej Podlaskiej (35 km na zachód od Brześcia). Dalej transport jechać nie mógł, gdyż front stał wtedy na Wiśle i wszystko mogło się jeszcze zdarzyć. Kolejne transporty kierowane będą już na tzw. Ziemie Odzyskane. I tak, jeden z transportów z kwietnia 1945 roku osiadł m.in. na byłym pograniczu niemiecko-polskim (wsie Kaszczor, ok. 20 km i Mochy, ok. 15 km na południe od Wolsztyna).

Kolejny, który wyruszył z Berezy w pierwszych dniach czerwca 1945 r. dotarł pod Zieloną Górę. Jeszcze inne transporty kierowano pod Szprotawę (Mycielin, Niegosławice, ok. 10 km na wschód od Szprotawy) w rejony Cybinki (wieś Białków, ok. 22 km na południowy wschód od granicznych z Niemcami Słubic) i znowu w rejony Zielonej Góry (wieś Bojadła, ok. 20 km i Konotop, ok. 27 km na wschód oraz Łęgowo ok. 22 km na północny wschód od miasta). To są główne znane mi skupiska rodzin z Berezy Kartuskiej i jej okolic. Wiele rodzin odłączało się od transportu zanim ten dotarł na miejsce swego przeznaczenia (np. w Łodzi), były też rodziny, które na własną rękę przesiedlały się do Polski.

Wspomniany pierwszy transport w okolice Zielonej Góry jest mi szczególnie bliski, gdyż to właśnie nim wyjechała z Berezy moja babcia Anna Towpik z domu Zdanowicz, zabierając ze sobą swych kilkunastoletnich synów – Nikodema i Wacława. Zapisali się do wyjazdu 26 kwietnia 1945 roku, jako 596 rodzina z rejonu Bereskiego. Po nieco ponad miesięcznym oczekiwaniu na kolejowy transport, razem z kilkudziesięcioma innymi rodzinami opuścili Berezę dnia 1 czerwca 1945 r.

W każdym wagonie (radzieckim "pulmanie") jechały średnio trzy-cztery rodziny. Po jednej stronie wagonu zwierzęta (krowy, konie), po drugiej ludzie. W Brześciu nastąpił pierwszy, bo w czasie całej podróży będzie ich kilka, trwający trzy dni przestój. Przesiedleńców przeładowano na polskie, znacznie mniejsze wagony (dostosowane też do mniejszego od rosyjskiego rozstawu szyn) teraz już po dwie rodziny na wagon i wieziono przez Warszawę do Łodzi, i dalej do Poznania. Tam transport stał na kolejowej bocznicy aż tydzień, pierwszeństwo miały radzieckie pociągi z wojskiem i wojennymi zdobyczami. Tam też transport rozdzielono na rodziny, które chcą osiedlić się w mieście (skierowano ich w kierunku Koszalina) i tych, którzy chcą żyć na wsi. Do drugiej grupy, a było to około dwudziestu wagonów, dołączono jeszcze cztery rodziny z lwowskiego i transport udał się w kierunku Nowej Soli. Po drodze, na stacji Okunin pod Sulechowem parowóz uległ awarii, a na nowy musiano czekać kilka dni. Może 5-6 rodzin zniechęconych długim czekaniem i przeciągającą się w męczących warunkach podróżą, odłączyło się od transportu i osiadło w pobliskim Łęgowie. Ostatecznie dostarczono nowy parowóz i przez Zieloną Górę transport dojechał do Nowej Soli. Tam zaoferowano przesiedleńcom oddaloną o 13 km od miasta wieś Lipiny, w której to osiedlić się zdecydowały zaledwie dwie lub trzy rodziny. Ogólnie wieś ta nie przypadła Bereziakom do gustu, sceptycznie patrzyli na przydzielone im, jak dla nich bardzo duże, 50-hektarowe gospodarstwa. Obawiali się wysokich podatków, ale przede wszystkim przeczuwali, że i tu dojdzie do parcelacji tak dużych gospodarstw. We wsi tej spotkali swego ziomka z Berezy, sprawującego tam wtedy bodaj urząd tymczasowego sołtysa - Białorusina Pukało. Widząc ludzi z Berezy Pukało zaczął uciekać. Kiedy go dogoniono i gorąco przywitano przyznał się, że jest dezerterem z radzieckiej armii, a uciekał od nich bojąc się rozpoznania i denuncjacji u Rosjan. Oczywiście zapewniono go, że o żadnym wydaniu Rosjanom nie ma mowy. Po około pięciu dniach transport zawrócił ponownie do Zielonej Góry, gdzie 24 czerwca repatriantom przekazano wieś Ochelhermsdorf, dzisiejszą Ochlę.

cdn.

Paweł Towpik

Szanowny Czytelniku!

Od kilku lat w kręgu moich zainteresowań znajduje się były powiat prużański, ze szczególnym uwzględnieniem miasteczka Bereza Kartuska i jego najbliższych okolic. Z nieukrywaną pasją staram się odtworzyć, jakże ciekawą historię i kulturę tego małego zakątka Europy, przypomnieć jego mieszkańców. Prócz kwerend archiwalnych i bibliotecznych jednym z niezastąpionych źródeł informacji są ludzie niegdyś tam żyjący. Niestety lata mijają i ludzi tych jest już z roku na rok coraz mniej, a wraz z nimi giną bezpowrotnie niepowtarzalne cenne wspomnienia i materialne pamiątki.

Korzystając z okazji chciałbym gorąco zaapelować do wszystkich nadal żyjących byłych mieszkańców miasta i gminy Bereza Kartuska z prośbą o gromadzenie wszelkich materiałów (zdjęcia, dokumenty urzędowe, metryki kościelne, listy, mapy, itp.) oraz spisywanie wspomnień dotyczących tego regionu. W razie posiadania takowych byłbym wdzięczny za kontakt ze mną. Państwa materiały mogą bowiem okazać się nieocenione w przygotowywanej publikacji książkowej poświęconej Berezie Kartuskiej i jej okolicom.

Serdecznie pozdrawiam

Paweł Towpik

Dzieje Szpitala Wojewódzkiego w Zielonej Górze (część 2)

W pierwszym półroczu 1960 r. Wydział Zdrowia zatrudniał :

- 42 lekarzy (na niepełnym etacie)
- 17 felczerów
- 24 dentystów
- 9 techników dentystycznych
- 1 magistra analityka
- 60 pielęgniarek (w tym 34 dyplomowane)
- 9 położnych
- 6 laborantek
- 25 rejestratorek.

W 1960 r. powołano do życia funkcję instruktorki położnych, która przeprowadziła podział miasta na pięć rejonów położniczych.

W 1961 r. do pawilonu "C" Szpitala Wojewódzkiego przeniesiono z placu Powstańców Wielkopolskich: Oddział Urologii i Chirurgii Dziecięcej (parter), Oddział Chirurgii I, Oddział Chirurgii II (I piętro), Oddział Ortopedyczno-Urazowy (II piętro).

Oprócz tych oddziałów w pawilonie „C", znajdował się jeszcze Centralny Blok Operacyjny z czterema salami operacyjnymi, Zakład Radiologii, Apteka oraz Centralne Laboratorium Analityczne.

31 lipca 1961 r. ze względu na zły stan zdrowia lek. med. Zbigniew Pieniężny zrezygnował z funkcji dyrektora, a na jego miejsce został wybrany lek. med. Zbysław Kopyść ordynator Oddziału Dziecięcego.

Łączna ilość łóżek wynosiła 703, w tym 68 łóżek było przeznaczonych dla noworodków.

Nadzór i koordynacja prac położnych należała do Miejskiego Inspektora Położnictwa lek. med. Tadeusza Zgorzalewicza ordynatora Oddziału Położniczo-Ginekologicznego Szpitala Wojewódzkiego i Miejskiej Inspektorki Położnych Haliny Dobrogowskiej.

16 października 1962 r. stanowisko dyrektora Szpitala Wojewódzkiego w Zielonej Górze objął lek. med. Czesław Strehl.

Większość oddziałów mieściła się wówczas przy ulicy Zyty. Pozostałe oddziały tj.:

Oddział Położniczo-Ginekologiczny przy al. Niepodległości, oddziały dziecięce przy ulicy Warskiego , Oddział Dermatologiczny przy placu Powstańców Wielkopolskich oraz Oddział Zakaźny w Sulechowie.

W listopadzie 1962 r. skompletowano dokumentację montażu pawilonu onkologicznego pochodzącego z darów Fundacji Sue Ryder z Anglii.

W 1962 r. wybudowano pawilon Oddziału Zakaźnego, który liczył 85 łóżek.

W tym samym roku zielonogórska służba zdrowia otrzymała pierwszy samolot do transportu chorych, później zaś helikopter.

28 kwietnia 1965 r. w obecności I Sekretarza KW PZPR T. Wieczorka, przewodniczącego PWRN J. Lembasa oraz kierownika Wojewódz-

kiego Wydziału Zdrowia i Opieki Społecznej lek. med. S. Gury, a także zaproszonych gości, dokonano otwarcia pawilonu przeciwgruźliczego.

W pawilonie tym zlokalizowano oddziały gruźlicy dziecięcej (26 łóżek), gruźlicy dorosłych (44 łóżka) oraz torakochirurgii (48 łóżek).

W czerwcu rozpoczęto budowę warsztatów , pralni głównej oraz ogrodzenia szpitala. Zaplanowano jednolite ogrodzenie dla szpitala, szkoły medycznej i Polikliniki MSW.

Powierzchnia szpitala wynosiła wtedy 13 hektarów i tylko część obiektów była ogrodzona parkanem, wykonanym jeszcze w 1909 r.

W pierwszym kwartale 1966 r. uruchomiono przy pawilonie przeciwgruźliczym pracownię biologiczną oraz zwierzętarnię, następnie zaś, w wydzielonych pomieszczeniach uruchomiono dwa aparaty rentgenowskie - Medicor 250.

Do roku 1967 wykonawcami robót remontowych w szpitalu były rzemieślnicze spółdzielnie pracy lub wykonawcy prywatni. Sytuacja ta zmieniła się 2 stycznia 1967 r., kiedy to w szpitalu rozpoczęła swą działalność brygada remontowo-budowlana.

Zadaniem tej brygady było wyeliminowanie prywatnych wykonawców, którzy nie zawsze wywiązywali się należycie z nałożonych na nich obowiązków.

29 marca 1967 r. przekazano do użytku pralnię centralną, a miesiąc później warsztaty naprawcze wraz z garażami.

W grudniu 1969 r. brygada remontowa przekazała do użytku pawilon z Fundacji Sue Ryder, który można było użytkować dopiero na wiosnę przyszłego roku z powodu braku środków finansowych na jego ogrzewanie.

Również pod koniec roku zmodernizowano Centralny Blok Operacyjny pod kątem potrzeb Oddziału Anestezjologii. Przystąpiono też do utworzenia Oddziału Reanimacji i Intensywnej Terapii.

W kwietniu 1970 r. uruchomiono drugi pawilon Fundacji Sue Ryder z przeznaczeniem na ginekologię onkologiczną.

W 1972 r. Szpital Wojewódzki posiadał 934 łóżka oraz 68 łóżeczek dla wcześniaków i noworodków. Baza łóżkowa od trzech lat nie uległa zmianie.

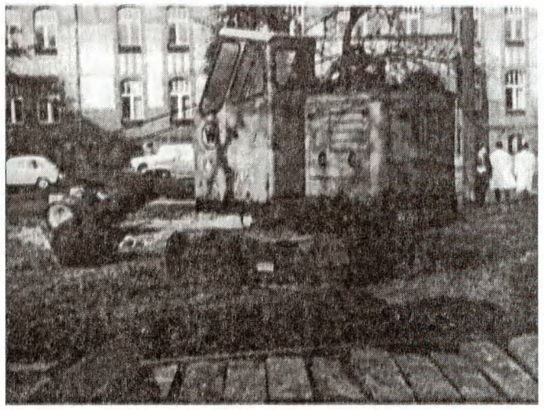

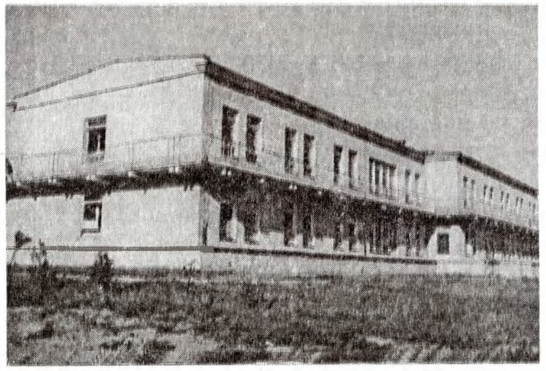

Rozbudowa szpitala w Zielonej Górze w latach 70-tych

Na koniec roku 1972 szpital zatrudniał 821 pracowników, w tym 95 lekarzy i 7 lekarzy stażystów.

cdn.

Krzysztof Badach- Rogowski

Od redakcji: wykaz źródeł, z których korzystał Autor, zostanie przedstawiony w ostatniej części artykułu.

Zapomniane restauracje Zielonej Góry

(część 3)

Augustshöhe – "Wzgórze Augusta"

Zawsze przechodząc ulicą Kilińskiego zastanawiałem się, co znajdowało się na małym pagórku na wprost Liceum Ogólnokształcącego nr 1, do którego doprowadzają schody. Coś tam musiało być. Owszem, było – jedna z piękniejszych restauracji w Zielonej Górze, wyglądem przypominająca pałacyk, który niestety możemy w dniu dzisiejszym podziwiać tylko na starych pocztówkach, rycinach i zdjęciach.

Nazwę wzgórza zawdzięczamy Augustowi Siegismundowi Försterowi, który zachorował na tyfus. Aby wyzdrowieć, wybudował letni domek za miastem. Niestety, August Forster zmarł 1 lipca 1825 r. w wieku 28 lat. Od tamtego czasu wzniesienie oraz pobliską drogę zaczęto nazywać imieniem Augusta.

August Siegismund Förster był bardzo ceniony wśród zielonogórzan, gdyż ufundował ośrodek dla sierot i dzieci sprawiających trudności wychowawcze. Na ten cel przeznaczył aż 5 000 talarów.

Do 1874 r. wzgórze należało do rodziny Försterów. Gdy zbankrutowali, cały majątek został zlicytowany, a wzgórze zostało kupione przez Gustawa Götze – mistrza tkackiego.

W 1891 r. w Zielone Świątki została otwarta restauracja. Do budynku pierwotnie znajdującego się na wzgórzu został dobudowany balkon z tarasem widokowym. Z tarasu znajdującego się na charakterystycznej wieżyczce można było zobaczyć piękną panoramę miasta, którą przez ponad pół wieku podziwiali odwiedzający restaurację goście. Restauracja reklamowała się na wielu zielonogórskich pocztówkach, pokazujących nie tylko jej wnętrze, ale także przepiękny ogród z miejscem dla zakochanych wśród róż.

Reklamy restauracji widniejące na odwrocie pocztówek – 1938 r.

Ze zbiorów Grzegorza Biszczanika

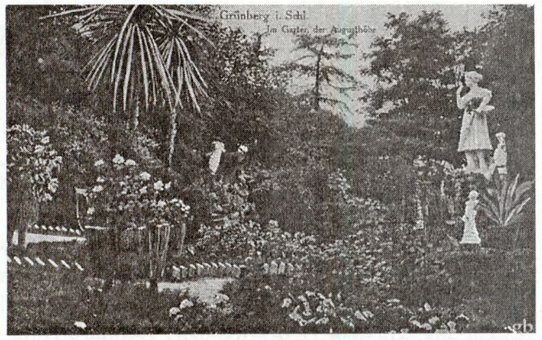

Ogród otaczający restaurację z pięknymi pomnikami i kącikiem zakochanych – 1916 r.
"Zielona Góra na starej pocztówce ze zbiorów Grzegorza i Krzysztofa Biszczanik". Zielona Góra 2005

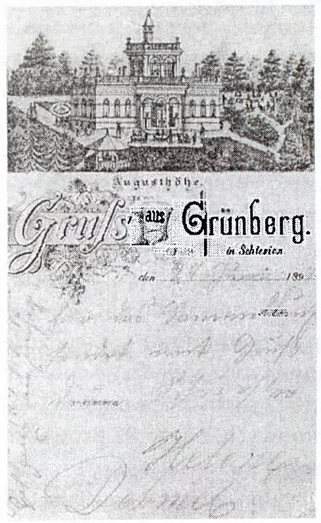

Jedna z najstarszych pocztówek przedstawiających Wzgórze Augusta – ok.1895 r.
"Zielona Góra na starej pocztówce" ze zbiorów Grzegorza i Krzysztofa Biszczanik", Zielona Góra 2005

Rodzina Götze bardzo dużo inwestowała w pałacyk. W 1907 r. zostaje dobudowana acetylenownia, dzięki której lokal zyskał oświetlenie karbidowe. Planowano także wybudowanie... drewnianego toru saneczkowego o długości 200 m.

Kolejne inwestycje w pałacyku przeprowadzono w latach 1912–13, kiedy to dobudowano salę widowiskową z drewnianą sceną, garaż, a w piwnicy sześć pokoi. W późniejszych czasach restauracja przechodziła w ręce różnych właścicieli. W 1924 r.

Restauracja na Wzgórzu Augusta – 1916 r.
"Zielona Góra na starej pocztówce ze zbiorów Grzegorza i Krzysztofa Biszczanik", Zielona Góra 2005

należała do Bertholda Wernera, w 1934 r. do Ernsta Hoffmana, a następnie do Paula Stiera.

Budynek restauracji można było znaleźć na każdym planie miasta Zielonej Góry, wydanym do 1945 r. Widniał on jeszcze na polskim planie z końca 1945 r.

Restaurację rozebrano w latach 50-tych. Na przełomie lat 60-tych i 70-tych można było jeszcze wejść do piwnic, widocznych od strony garaży. Po wejściu można było zobaczyć resztki ścian, stropów oraz fragmenty zawalonych schodów. Później, ze względów bezpieczeństwa, piwnice zostały zasypane.

I tak przestała istnieć kolejna piękna restauracja naszego miasta. Dzisiaj, przechodząc obok pagórka, możemy tylko spojrzeć w "górę" i zobaczyć minimalne pozostałości po restauracji – praktycznie niewidoczne już dziś zarysy budynku oraz schody, niegdyś prowadzące do urokliwego miejsca na obrzeżach miasta.

Bibliografia

Adressbuch 1914/1915 von Grünberg i. Schl., Grünberg 1915.
Adressbuch 1924/1925 von Grünberg i. Schl., Grünberg 1925.
Adressbuch für die Kreise Grünberg, Schlesien und Freystadt, Niederschlesien 1933, Grünberg 1933.
Czyżniewski T., *Wzgórze Augusta*, [w:] "Gazeta Lubuska" z 12 listopada 2004 r.
Zielona Góra na starej pocztówce ze zbiorów Grzegorza i Krzysztofa Biszczanik, Zielona Góra 2005.

Verden – miasto partnerskie

Zarys dziejów (część 2)

W 1405 r. Verden uzyskało prawa wolnego miasta Rzeszy. W związku z tym przed ratuszem wzniesiono posąg Rolanda oraz posagi dwóch lwów chroniących (flankujących) pręgierz (obecnie w muzeum).

W 1547 r. nieprzerwanie zwiększała się wśród mieszkańców Verden liczba zwolenników reformacji Lutra; zreformowana wiara uroczyście wprowadzona została do verdeńskiej katedry w 1568 r.

W 1578 r. ufundowana została przez biskupa Eberharda von Hulle, kapitułę oraz radę miejską szkoła katedralna (obecnie gimnazjum katedralne), która zgromadziła zasobną bibliotekę. W jej zachowanym do naszych czasów księgozbiorze zwraca uwagę kolekcja starodruków, w tym inkunabułów oraz zabytkowych atlasów z miedziorytniczymi mapami, ręcznie kolorowanymi. W zbiorze tym występują również mapy Polski i Śląska.

Lata wojny 30-letniej (1618-1648) spowodowały – podobnie jak i innych miast niemieckich – upadek Verden, nękanego kontrybucjami, głodem i innymi klęskami. W rezultacie grabieży, mordów i pożarów dokonanych i wywołanych przez wrogie armie, a także szerzących się epidemii i chorób, gwałtownie zmniejszyła się liczba mieszkańców Verden. W części północnej miasta (Norderstadt), liczącej 421 domów, do 1630 r. zostało ich zniszczonych 180, 40 dalszych stało pustych. Południową część Verden (Süderstadt) wojna dotknęła w jeszcze większym stopniu. Spośród 250 domów istniejących tam przed 1618 r., w ciągu 12 lat zniszczonych zostało 168.

Przed 1625 r. północne Verden liczyło około 2 200 mieszkańców, a południowe 1 300. Pięć lat później ich liczba zmniejszyła się odpowiednio do około 1000 i 400. W 1642 r. istniało w mieście tylko 130 gospodarstw domowych, z tego 82 prowadzili rzemieślnicy, a 48 kupcy.

Na mocy ustaleń pokoju westfalskiego

Budynek z 1577 roku, obecnie biblioteka, muzeum konia.

Kwartał rybaków.

Verden oraz biskupstwo bremeńskie stały się od 1648 r. lennem szwedzkim. W 1649 r. Krystyna, królowa Szwecji zakazała radzie miasta wszczynania procesów o czary. Warto w związku z tym przypomnieć, że w Zielonej Górze w latach 1651-1653 i 1663-1665 toczyły się procesy o czary, w których skazano i spalono na stosie kilkanaście kobiet.

W 1667 r. obie części Verden, otoczone odrębnymi murami, zostały połączone. Zachowany akt połączenia *combinationsrecess* m.in. stanowi, że mur między obydwiema częściami miasta zostanie w ciągu trzech lat rozebrany, a określenia Miasto Południowe i Miasto Północne nie będą odtąd używane, gdyż istnieje jedno miasto Verden. Mieszkańcy grodu nad Aller zostali zmilitaryzowani: utworzyli cztery kompanie zaopatrzone w działo; oficerami w liczbie 16 zostali członkowie zarządu.

W 1719 r. Brema i Verden weszły w skład elektoratu hanowerskiego. W tym czasie, miasto, odbudowane po zniszczeniach wojny 30-letniej znacznie wykroczyło poza okalające je mury, które straciły na znaczeniu militarnym, natomiast hamowały jego rozwój. Od 1780 r. począwszy, zarząd miasta przystąpił do rozbiórki murów i bram miejskich. Materiał z rozbiórki, który sprzedawano, posłużył do rozbudowy miasta. Sprzedawano również działki wytyczone w splanowanym paśmie wałów.

W okresie napoleońskim (1803-1815) Verden anektowane zostało przez Francuzów do Cesarstwa. Przez miasto przeciągały liczne oddziały wojska, które nałożyły na Verden – liczące 589 domów i 3788 mieszkańców - kontrybucje i inne ciężary, na łączną kwotę 30 2895 talarów. Przez wiele lat miasto było główną kwaterą 2. dywizji armii francuskiej, nastepnie w Verden kwaterowały wojska rosyjskie, pruskie i holenderskie.

Po powrocie do *status quo* sprzed okresu napoleońskiego, Verden stało się w pełnym tego słowa znaczeniu miastem garnizonowym armii hanowerskiej. Do czasu wybudowania koszar, do czego przystąpiono po 1830 r. – wojsko kwaterowało w budynkach mieszczan, na zasadach ustalonych przez zarząd miasta. Garnizon był dla verdeńczyków niemałym źródłem dochodów. Na jego potrzeby pracowało wiele warsztatów rzemieślniczych, również miejski handel dostarczał garnizonowi określoną ilość produktów. Od 1866 r., po aneksji Hanoweru przez Prusy, w mieście stacjonował garnizon pruski.

Struktura zawodowa mieszkańców Verden jeszcze w XIX w. nie była typowa dla ośrodków wysoko zurbanizowanych. Obok rzemieślników i kupców oraz pewnej liczby urzędników, występował na obrzeżach miasta znaczny procent rodzin utrzymujących się z rolnictwa i hodowli bydła, a także trzody chlewnej i połowu ryb w Aller.

Po 1815 r. nastąpił okres względnego spokoju sprzyjający rozwojowi miasta. Władze wspierały rozwój miejscowej przedsiębiorczości, szczególnie produkcji materiałów budowlanych, a także przemysłu spożywczego: gorzelnictwa, browarnictwa, młynarstwa i innych zakładów związanych z rolnictwem oraz hodowlą bydła i trzody chlewnej. Rozwój ten stymulowany był przez Towarzystwo Przemysłowe Królestwa Hanoweru (*Gewerbeferein des Königreich Hannover*) oraz utworzoną w 1834 r. "Kasę Oszczędnościową". Sprzyjała mu także, uruchomiona w 1847 r. – po uprzednim wybudowaniu mostu na Aller – linia kolejowa, któ-

ra połączyła Verden z Bremą i Hanowerem. Interesy przemysłowców i kupców reprezentowała – i zarazem ich broniła – powstała w Verden w 1866 r. Izba Przemysłowo-Handlowa (*Industrie-und Handelskammer*). W drugiej połowie XIX w. powstały w mieście przedsiębiorstwa zatrudniające po kilkuset pracowników. Złoty okres rozwoju osiągnęły zwłaszcza zakłady produkujące tytoń i papierosy.

Widomym wyrazem pomyślnego rozwoju miasta było wybudowanie w tym czasie na Aller dwóch mostów w 1869 i 1888 r., a ponadto budynku poczty (1886) i szpitala miejskiego na Wzgórzu Zamkowym (1892). Systematycznie kanalizowano również centrum miasta.

W 1832 r. ukazywało się regularnie, dwa razy w tygodniu lokalne pismo "Verdener Wochenblatt", zamieszczające początkowo – oprócz ogłoszeń i rozporządzeń – jedynie romanse, a w okresie późniejszym także bieżące informacje polityczne i komentarze. Na przełomie lat 1870/1871 gimnazjum katedralne translokowano do nowego budynku, a w jego dotychczasowych pomieszczeniach otwarte zostało w 1875 r. seminarium nauczycielskie. Trzy lata wcześniej rozpoczęła działalność protestancka prywatna szkoła dla dziewcząt.

W okresie międzywojennym, po krótkim okresie stagnacji, nastąpił dalszy rozwój drobnej wytwórczości i przemysłu spożywczego. W 1928 r. wybudowano nową szkołę podstawową (*Pestalozzischule*), rozbudowano szpital miejski, wzniesiono nowy most na Aller oraz otwarto tor wyścigowy.

W czasie ostatniej wojny naloty aliantów wyrządziły miastu tylko niewielkie szkody, natomiast cofająca się armia niemiecka wysadziła w powietrze mosty na Aller. Siła wybuchu zniszczyła m.in. witraże w kościele katedralnym. W kilka lat po wojnie odbudowano zburzone mosty: dwa dla trakcji kołowej i pieszej oraz jeden kolejowy.

W 1951 r. miasto uzyskało uprawnienia powiatu, co stało się bodźcem do jego dalszego rozwoju. Uwzględniono w nim kulturalne potrzeby lokalnej społeczności. Reaktywowana została działalność Muzeum Regionalnego (*Heimatmuseum*), a do własnego zabytkowego i nowo odrestaurowanego budynku przeniesiono Niemieckie Muzeum Konia (*Deutsches Pferdemuseum*). Rozbudowano i unowocześniono sieć placówek szkolnych; zakończono budowę powiatowej szkoły zawodowej, otwarto nową szkołę realną, wzniesiono nowy budynek gimnazjum. Rozbudowano obiekty sportowe i rekreacyjne: powstał zespół boisk i stadionów, kąpieliska otwarte i kryte, tory wyścigowe. Na obszarze rekreacyjno-leśnym, usytuowanym na północny-wschód od miasta, powstał park (*Freizeit Park Verden*) z Krainą Baśni (*Märchenland*) i wieloma urządzeniami sportowo-rekreacyjnymi.

W latach 70-tych dokonano rewitalizacji starego miasta i przeprowadzono restaurację katedry, którą pokryto miedzianym dachem oraz kościołów św. Jana i św. Andrzeja. Prace te stworzyły dogodną okazję do archeologicznego przebadania przyziemia tych zabytkowych budowli.

Grzegorz Chmielewski

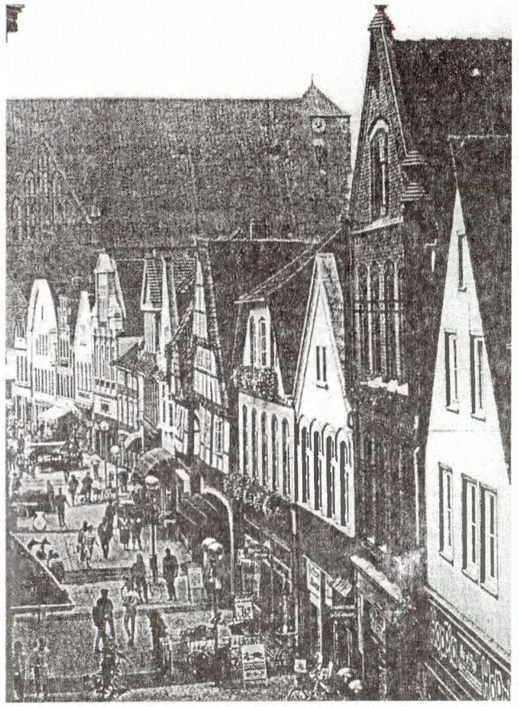

Reprezentacyjny deptak, ul. Wielka.

Od redakcji:

Wśród ważniejszych prac historycznych podejmujących dzieje miasta Verden warto wymienić następujących autorów:

Nerger Karl, *Verfassung und Verwaltung der Stadt Verden (Aller) von den Anfängen bis id die Mitte des 19. Jahrhunderts* (1866), Verden 1981.

Siemers Jürgen, *Die Stadt Verden (Aller): eine Garnisonsstadt mit Tradition*, Verden 1985. *Tausend Jahre Stadt Verden*, hrsg. Von Robert Kienzle, Verden 1984.

WYWIAD Z PANIĄ STANISŁAWĄ CIESIELSKĄ - MIESZKANKĄ DOMU POMOCY SPOŁECZNEJ DLA KOMBATANTÓW W ZIELONEJ GÓRZE

Daniel Głowiński: Dzień dobry pani Stanisławo! Czy mógłbym zadać kilka pytań na temat Pani życia i twórczości literackiej?

Stanisława Ciesielska: Bardzo mi miło i chętnie odpowiem na zadane mi pytania.

Daniel Głowiński: Czy mogłaby Pani opowiedzieć o swoim dzieciństwie?

Stanisława Ciesielska: Urodziłam się 7 czerwca 1917 r. w Grabówku w powiecie Chodzież. Pochodzę z wielodzietnej rodziny rolniczej. Swoje życie opisałam wierszem:

Wśród zagonów pól i leśnych ścieżek
Na drogach obrosłych topolami
dni zielone wschodami i zachodami słońca.
Wzrastałam do Boga do świata.
Z oczu matki i ojca czerpałam miłość.
Radość życia wśród sióstr i braci
Otworzył się świat, świat marzeń.
Weszłam w dorosłe życie.
Życie dumne i chmurne – przez pożogę
Wojny ograniczone – były moje możliwości
Świat za mały. Więc po życiowych obowiązkach
Zaczęłam szukać wzlotów duszy w
Poezji. Przyjmijcie moje wiersze – które
Piszę ostatnie w mym życiu
Więc tylko jeszcze powtórzę za czytanym
W młodości poetą.
Dumki gołąbki bywajcie zdrowe
Ja was nie schwycę jam niepiśmienny

W tym wierszu w skrócie ujęłam historię mojego życia.

Daniel Głowiński: Bardzo piękny wiersz. Jednak z gazet dowiedziałem się, że nie pisze pani tylko dla siebie, ale również wydała Pani tutaj, w Zielonej Górze siedem tomików poezji.

Stanisława Ciesielska: Tak, przy pomocy finansowej Urzędu Miejskiego w Zielonej Górze.

Daniel Głowiński: A czy już wcześniej przejawiała Pani talenty literackie?

Stanisława Ciesielska: Moje pisanie wierszy zaczynało się podczas pierwszych porywów miłosnych. Ale wtedy wstydziłam się ich, darłam i wyrzucałam do lasu. W Polsce międzywojennej szkoły były płatne i nie miałam warunków z nich skorzystać. Zaglądałam do podręczników starszego brata, który uczęszczał do szkoły średniej. Podczas wojny pracowałam w przymusowo w złych warunkach.

Często myślami wracam do lat młodości, ponieważ mimo wszystko, były to najpiękniejsze lata mojego życia.

Daniel Głowiński: Jak długo Pani mieszka w Domu Kombatanta?

Stanisława Ciesielska: 17 lat. Z powodu braku tutaj innych zajęć, zaczęłam zajmować się poezją.

Daniel Głowiński: Czy są tu jeszcze jakieś inne możliwości wypełnienia wolnego czasu?

Stanisława Ciesielska: Tak. Angażowałam się w zajęcia kulturalne pod przewodnictwem pani Ani Korbanek. Jest tu jeszcze wiele innych możliwości wypełniania wolnego czasu i rozwijania swoich zainteresowań. Można iść np. do Biblioteki i wypożyczyć dobrą książkę bądź poczytać codzienną prasę. Organizowane są także rozmaite wycieczki.

Daniel Głowiński: Czy jeździła Pani na takie wycieczki?

Stanisława Ciesielska: Owszem bywałam. W Poznaniu na Operetce, w lesie, w Niemczech, nad jeziorem...

Daniel Głowiński: Czy Pani się podoba Zielona Góra?

Stanisława Ciesielska: W Zielonej Górze urzeka mnie zieleń parków, przestronne ulice i urozmaicony krajobraz, pomimo że stwarza to pewne trudności. Spotykam się z tu z serdecznością ludzi i wyrażam wdzięczność temu miastu.

Dziękuję za rozmowę

Daniel Głowiński

Miód dobry na wszystko

(kolejna część opowieści o pszczołach)

Miłośniczka pszczół opowiadała nam o legendach i podaniach dotyczących pszczół i miodu. Tym razem jej wspomnienia i rady związane są z leczniczym wykorzystaniem tego specjału.

Mimo, że miód jest doskonałym lekarstwem z niewiadomych powodów w procesie leczenia często się o nim zapomina lub odchodzi od jego stosowania. A przecież jest to specyfik działający antybakteryjnie i bodźcowo na układ immunologiczny człowieka. Wzmacnia odporność, działa regenerująco i przeciwbólowo. Pomaga przy leczeniu najprzeróżniejszych chorób skóry, trudno gojących się ran, owrzodzeniach, ropniakach, świerzbiączkach, liszajach i wypryskach. Dzieje się tak za sprawą antybiotycznych regenerujących właściwości miodu, którego substancje odżywcze w procesie leczenia przenikają w głąb skóry. Miód działa również przeciwbólowo przy oparzeniach i nie dopuszcza do powstania infekcji. Najlepsze efekty można uzyskać przy stosowaniu miodu rzepakowego i spadziowego. Powszechnie występujący u nas miód lipowy, wielokwiatowy i rzadziej spotykany malinowy leczy choroby układu oddechowego, m.in. przeziębienie, zatoki, zapalenie krtani, nieżyty górnych dróg oddechowych, zapalenie oskrzeli i pylice płuc. W wyniku działania rozkurczowego, miód działa również korzystnie na naczynia wieńcowe i obniża ciśnienie krwi. Miód spadziowy i rzepakowy pomaga w leczeniu chorób wzroku, m.in. schorzeń siatkówki. Odpowiednie stosowanie może nawet spowodować poprawę widzenia.

Miody spadziowe, nostrzykowe, gryczane i lipowe są bardzo skuteczne w leczeniu różnego rodzaju chorób kobiecych.

Miody: akacjowy, walerianowy oraz melisy działają uspokajająco i pomagają w leczeniu niektórych chorób psychicznych. Można je również stosować uspokajająco i antystresowo oraz w przypadkach bezsenności. Miody te mają w sobie dużo glukozy, ich odpowiednie stosowanie poprawia samopoczucie i pozwala na odzyskanie wiary w siebie. Działają także antydepresyjnie.

Wiele osób radziło się babci, w jaki sposób można podawać miody w lecznictwie? Otóż można je stosować doustnie i zewnętrznie, odpowiednio przygotowane mogą być również stosowane dożylnie i domięśniowo, dopochwowo i doodbytniczo. Dożylnie, domięśniowo, przed i po zabiegach operacyjnych oraz w przypadku różnego rodzaju zatruć np.: grzybami czy jadem pszczół lub żmii.

Miód można również spożywać z płynami np.: z herbatą, kawą lub wodą. Ważne jest jednak, aby temperatura płynu, z którym podajemy miód nie przekraczała 40 stopni C. najlepiej jest przygotować napój rano i wypić wieczorem lub odwrotnie, przygotować wieczorem i wypić rano.

Miód w medycynie ma bardzo wiele zastosowań, należy jednak pamiętać o tym, że zanim zaczniemy się leczyć, tak jak zalecała babcia, najlepiej skontaktować się z lekarzem lub specjalistą w tym zakresie, który dokładnie poinformuje nas jak najefektywniej go stosować.

Stanisław Prałat